WTOREK

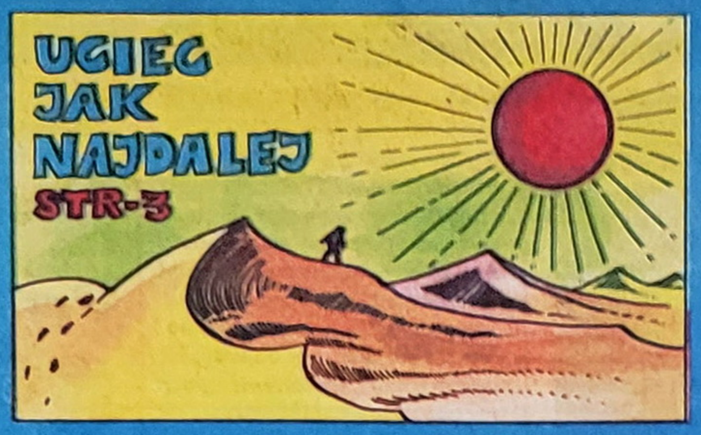

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 103 5 WRZEŚNIA 1978 R CENA 1,50 ZŁ

Zrazu słychać tylko mocny rytm końskich kopyt. A potem zza pagórka stopniowo wyłaniają się jeźdźcy. Rosną w oczach stalowe szyszaki, podbite futrem szerokie płaszcze, rycerskie pasy. Obrazek z kręcenia nowego filmu historycznego? Przecież w pobliżu nie ma kamer, reflektorów, nikt nie steruje kierunkiem jazdy zbrojnej grupy... (str. 5)

Fot. M. Szymański

„OPERACJA ŻAGIEL – 78" ZAKOŃCZONA

GDANSK (PAP). Wielka „Operacja Żagiel – 78" dobiegła już końca. Polskie żeglarstwo wystąpiło w tegorocznej operacji z flotyllą dwudziestu jachtów. Wśród nich były: „Dar Pomorza", „Zew Morza", „Tornado". W pięknej scenerii ratusza w Oslo przedstawiciele załogi „Daru Pomorza" odebrali z rąk króla Norwegii Olafa V zdobyte przez siebie nagrody. W regatach „Dar Pomorza" jako drugi wielki żaglowiec okrążył Fair Isle, przepłynął linię półmetka, ale w końcowej klasyfikacji, po przeliczeniu handicapu zajął czwarte miejsce. Za ten wyczyn kapitan jachtu, Tadeusz Olechnowicz, otrzymał nagrodę Pingwina.

W klasie B-1, gdzie startowały jachty bez spinakerów – „Zew Morza" z załogą Bractwa Żelaznej Szekli dowodzoną przez kapitana Krzysztofa Baranowskiego zajął III miejsce.

Nasi żeglarze zajęli poza tym czołowe miejsce w turnieju piłkarskim, rozegranym pomiędzy załogami biorącymi udział w operacji oraz zdobyli nagrodę za zwycięstwo w konkurencji przeciągania liny. **(dz)**

KLUB JAKICH NIEWIELE

GDANSK (PAP). Młodzież z wiejskiego klubu w Małej Słońcy w gminie Subkowa urządziła swój klub w... wagonie kolejowym, otrzymanym w darze od Północnej Dyrekcji Kolei Państwowych. Nietypowe i oryginalne pomieszczenie klubowe znajduje się już w centrum wsi, przy którym każdego dnia spotykają się chłopcy i dziewczęta pracujący przy urządzaniu nowego klubu. Odmalowano już ściany, wymontowano niepotrzebne części metalowe, a uzyskane z ich sprzedaży pieniądze zostaną przeznaczone na zakup elementów dekoracyjnych. **(dz)**

KONKURS 49 – ROZSTRZYGNIĘTY

BRAWA DLA TARNOWA

Dobiegł końca nasz tegoroczny KONKURS 49. Zgodnie z wcześniejszymi przewidywaniami **pierwsze miejsce bezapelacyjnie zajął Tarnów**, którego mieszkańcy, członkowie wakacyjnych zastępów NAL, zdobyli dla swojego województwa 151 punktów. **Brawo wakacyjne zastępy z województwa tarnowskiego, serdecznie gratulujemy!** Wewnątrz dzisiejszego numeru wszyscy mogą przeczytać o tym, jak wygląda NAL po tarnowsku.

Drugie miejsce zdobyły z identyczną ilością punktów (po 42) **Opole** i **Radom**, trzecie (34 punkty) – **Przemyśl**, czwarte (33) – **Lublin**, piąte (21) – **Kielce**, szóste (po 18) – **Olsztyn** i **Suwałki**, siódme (14) – **Białystok**, ósme (12) – **Bielsko B.**, dziewiąte (11) – **Kalisz** i dziesiąte (po 10) – **Krosno** i **Nowy Sącz**. Wszystkim laureatom pierwszej dziesiątki składamy gratulacje i dziękujemy za miłą współpracę w czasie wakacji.

Na zakończenie lata rozlosowaliśmy wśród autorów nadsyłanych meldunków kilka nagród, piłek. Przypadły one w udziale zastępom: **„Wesołe Nastolatki" ze Strzeleczek** (zastępowy – Walter Lenart), **„Czerwone Róże" ze wsi Mezgie** (zastępowa – Bożena Nachyła), **„Księżyce" z Długiej Wsi** (zastępowa – Maria Paluszczak) i **„Turyści" z Moszczanicy** (zastępowy – Krzysztof Witko). Piłki wysyłamy pocztą.

NAD DUNAJCEM

W Tarnowskiej Chorągwi ZHP rozpoczęto budowę ośrodka szkoleniowo-wypoczynkowego w Piaskach Drużków. W pięknie położonym miejscu nad Dunajcem będzie jednorazowo wypoczywało 800 osób na siedmiu polach namiotowych. Planuje się również wybudowanie kuchni, jadalni, natrysków. Harcerze podczas akcji zbiórki surowców wtórnych zarobili ok. 1,5 mln zł. Rozprowadzali również okolicznościowy znaczek z nazwą „BAZA", zarobione zaś w ten sposób pieniądze przeznaczyli na fundusz budowy. Podczas czterech turnusów młodzież pracowała na terenie ośrodka, grodząc teren, kopiąc dołki pod słupki, pomagała przy budowie magazynu, kuchni, niwelowała teren. W pracach budowlanych dużej pomocy specjalistycznej udzielili uczniowie Technikum Budowlanego w Tarnowie. W czasie roku szkolnego harcerze będą dowożeni do pracy na teren ośrodka. **(jd)**

Fot. **Jerzy Dzikowski**

Szpital sprzed 583 lat

KROSNO (PAP). W budynku dawnego szpitala w Bieczu ufundowanego przez Królową Jadwigę w r. 1395 a przeznaczonego dla ubogich, powstanie muzeum szpitalnictwa. Przystąpiono już do rekonstrukcji zabytkowego obiektu, w którym m. in. zachował się gotycki portal, uwieńczony kartuszem z pięknym jagiellońskim orłem. Szpital w Bieczu należał w średniowieczu do najlepiej wyposażonych placówek w Polsce. Zgromadzono już sporo eksponatów, obrazujących metody leczenia dawnych lekarzy. **(ag)**

O nie, nie, moi kochani, jestem normalnym psem, mimo może nieco dziwacznego wyglądu. Jak na spacer – to tylko na nogach! Na jazdę samochodem, a zwłaszcza już w bagażniku – nikt mnie nie namówi... Zostanę w domu.

Fot. **CAF**

O tym się mówi:

NAJKRÓTSZE KONKLAWE

25 sierpnia o godz. 17,30, gdy 111 kardynałów mających dokonać wyboru nowego papieża znalazło się w wydzielonych pomieszczeniach Pałacu Watykańskiego, zamknięto z obu stron drewnianą bramę. Od tej chwili kardynałowie i cały personel zostali całkowicie odizolowani od świata zewnętrznego. Przy wejściu do Kaplicy Sykstyńskiej stoi prosty żeliwny piec, w którym tradycyjnie palone są kartki wyborcze po każdym głosowaniu. Obok niego znajdują się specjalne świece dymne, zabarwiające dym na czarno, lub w razie wyboru papieża, na biało. Uczestnikom konklawe przygotowano specjalne pomieszczenia mieszkalne, które z powodu swej surowości i skromnego wyposażenia nazwano celami. W każdej z nich proste, metalowe łóżko, stół do pisania, klęcznik, 2–3 krzesła. Okna szczelnie zamknięte i zaplombowane. Zostaną otwarte, podobnie jak drewniana brama, dopiero po wyborze nowego papieża.

Na drugi dzień w godzinach wieczornych nad Kaplicą Sykstyńską uniósł się biały dym, to znak, że kolegium kardynalskie dokonało wyboru nowej głowy Kościoła katolickiego. Już po czwartym głosowaniu został nim arcybiskup Wenecji 65-letni kardynał Albino Luciani.

Urodził się 17 października 1912 r. w małym miasteczku Forno di Canale koło Wenecji. Pochodzi z rodziny robotniczej, jego ojciec był dmuchaczem w hucie szkła. Albino Luciani od uzyskania święceń kapłańskich cały czas związany był z Wenecją, gdzie przeszedł przez wszystkie szczeble hierarchii kościelnej – był wikarym, a następnie proboszczem, biskupem i patriarchą-arcybiskupem. Kardynałem został w 1973 r.

Nowy papież w swym orędziu, jakie wygłosił następnego dnia po konklawe, oświadczył, że przybrał imię Jan Paweł I, symbolicznie nawiązując do dzieła i przykładu swoich poprzedników, Jana XXIII i Pawła VI. Podkreślił, że pragnie kontynuować dziedzictwo II Soboru Watykańskiego.

Przypomnijmy, że II Sobór zwołał w 1962 r. Jan XXIII w przekonaniu, że era nuklearna wymaga zjednoczenia się narodów, współpracy i dialogu ludzi wszelkich religii i ras, wierzących i niewierzących aby uzyskać to, co światu jest najbardziej potrzebne – pokój. Jan XXIII zmarł w trakcie trwania Soboru, kontynuowanego dalej pod kierunkiem Pawła VI. Idee soborowe znalazły wyraz w następujących aktach: potępił Kościół broń nuklearną, po raz pierwszy orzekł, że katolicy mają obowiązek moralny walczyć o pokój wspólnie ze wszystkimi ludźmi dobrej woli, po raz pierwszy też Kościół udzielił pełnego poparcia działalności ONZ.

Normy nakreślone przez Sobór konsekwentnie wcielał w życie Paweł VI. Z jego pontyfikatem związana jest m. in. tzw. polityka wschodnia Watykanu, która znalazła wyraz w procesie normalizacji stosunków i nawiązywania współpracy z krajami socjalistycznymi. Linia ta będzie realizowana w dalszym ciągu. Jan Paweł I zapowiedział oddanie się „do dyspozycji Kościoła i świata bez różnicy rasy i ideologii ludzi, dla których będzie pracował, by nadeszły kiedyś bardziej jasne dni". (mj)

BYŁEM NIEWOLNIKIEM

(Dokończenie z poprzedniego numeru)

Mijał dzień za dniem... Gdy podrosłem i zmężniałem, Afsal sprzedał mnie drugiemu „panu" nazwiskiem Jakki Chan za 2.200 rupii. Emblematem bandy mojego nowego właściciela był tygrys. Jakki Chan miał wszędzie swoich ludzi. Utrzymywał kontakty z wieloma urzędnikami państwowymi i działaczami różnych organizacji. My – niewolnicy wiedzieliśmy doskonale, że władze wiedzą o istnieniu rynku niewolników. Ale dopóki wielu urzędników i policjantów otrzymywało od harkarów duże łapówki, dopóty nic nie widzieli i nie słyszeli. Całymi dniami tłukliśmy kamienie, z których w miastach budowano piękne domy dla bogaczy. Pracowaliśmy od świtu do zmroku. Bez względu na porę roku spaliśmy zawsze w jamach wygrzebanych w ziemi, skuci łańcuchami.

Później, w innym już obozie, byliśmy na noc zamykani w jaskini. Gdy jeden z naszych towarzyszy osłabł tak, że nie mógł już pracować, strażnicy położyli go na ziemi, związali mu nogi i pozostawili na pastwę palącego słońca. Chłopiec początkowo płakał, modlił się o zmiłowanie. Po kilku dniach takich męczarni rozpalonym żelazem wypalono mu oczy. Strasznie krzyczał... My drżeliśmy ze strachu, a bandyci śmieli się i pili alkohol. Aby uratować swe życie, trzeba było pracować i to pracować nie zwracając uwagi na słabość czy chorobę. Żyliśmy jak zwierzęta, rozum przestawał działać i pogrążaliśmy się w coraz większej apatii. Po jakimś czasie nasi „gospodarze" zawarli umowę z rządem na budowę tamy w rejonie Taunsa. Przewieziono nas tam i budowaliśmy tę tamę przez cztery lata.

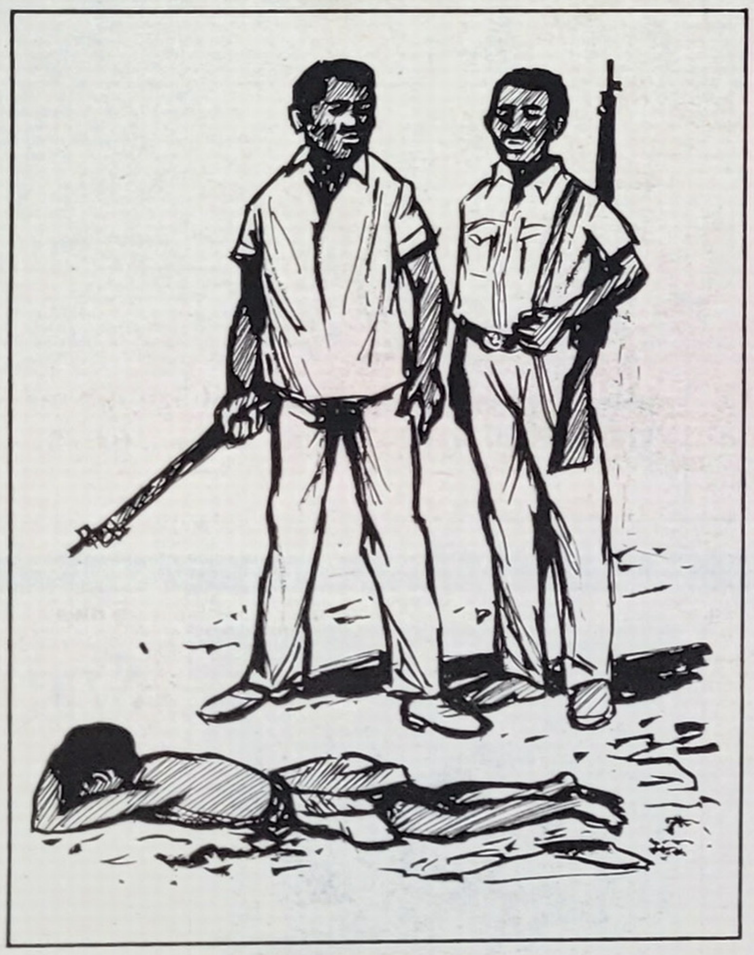

Bandyci nikogo się nie bali. Pewnego razu porwali syna jakiegoś dostojnika. Tę „operację" przeprowadził znany bandyta Nisar Szach, który dostarczał niewolników obydwu moim właścicielom. Na rękach miał wytatuowane emblematy obydwu band: tygrysa i pawiana. Zdobyty „towar" on i jego kamraci przechowywali na cmentarzu w Szejchpurze. Tam odbywały się transakcje kupna i sprzedaży niewolników. Później złapano go i skazano na śmierć, ale moi „gospodarze" uratowali go od stryczka.

Znów przewieziono nas na inne miejsce. W tym obozie było ponad 800 dzieci w różnym wieku. Wysadzaliśmy dynamitem skały, a następnie rozbijaliśmy je na kruszywo.

Po roku znalazłem się w rejonie Chuni Czouk, gdzie przez kilka lat budowałem tamę i kopałem kanały. W czasie powodzi tama nie wytrzymała naporu wody, zginęło wtedy kilku moich towarzyszy. Jednemu z nas udało się uciec i dotrzeć na posterunek policji. Po kilku godzinach policja otoczyła nasz obóz. Większość niewolników bandyci zdołali wywieźć, ale zostało 16 dziewcząt i 40 chłopców, wśród nich i ja, a także kilku bandytów. zawieziono nas na posterunek policji. Po raz pierwszy od wielu lat jadłem dad (*gotowany groch z przyprawami-red.*) i świeży chleb.

Wydawało nam się, że wreszcie nastąpił kres naszych męczarni, że wyrwaliśmy się z piekła i powrócimy do rodziców. Wtedy podjechał czarny elegancki samochód, z którego wysiadł szef jednej z band Dżumma Chan. Prosiliśmy policjantów, aby go aresztowali. Ale policja nie słuchała nas. Ich komendant przywitał się z szefem bandy jak ze starym znajomym. Zaczęto nas przesłuchiwać, opowiedzieliśmy o wszystkim. Wtedy Dżumma Chan wyciągnął z teczki plik kartek z odciskami naszych palców i oświadczył, że jesteśmy mu winni dużo pieniędzy i dlatego policja powinna mu nas zwrócić. Powiedzieliśmy, że bandyci siłą nas zmusili do odciśnięcia palców na różnych papierach.

Po długich targach bandyta kazał mnie i jeszcze jednemu koledze iść z sobą. Policjanci potwierdzili jego polecenie. Cóż było robić? Dżumma Chan zaprowadził nas do samochodu i otworzył bagażnik. leżał tam spory woreczek, który polecił nam zanieść na posterunek. Tam rozwiązał go, na ziemię wysypały się rupie, tysiące rupii. Noc spędziliśmy na posterunku policji, rano wpadła nam w ręce gazeta, gdzie znaleźliśmy nasze zdjęcia. Gdy wszedł komendant posterunku z szefem bandy, kolega pokazał im podpis pod zdjęciem, z którego wynikało, że zwrócono nas rodzicom. Na to oficer odpowiedział nam, żebyśmy się przygotowali, bo wrócimy do obozu. Mój przyjaciel rzucił się na niego. Strzał... i już nie żył. Podjechały samochody, polecono nam wsiadać. Sześcioro dzieci odmówiło. Na oczach policjantów Dżumma Chan zastrzelił je. Pojechaliśmy do obozu.

Po kilku dniach polecono mi wraz z czterema harkarami paść stado osłów. Pewnego dnia zostałem tylko z jednym bandytą na końcu stada, inni szli w przodzie. Prosiłem, aby mnie puścił, błagałem go. Odmówił. Z całej siły uderzyłem go głową w brzuch, i rzuciłem się do ucieczki. Po dwóch dniach wpadłem w zasadzkę ludzi Dżummy Chana. Drogo zapłaciłem za tę chwilę wolności. Nie mogę wprost opisać, jakie przeżyłem męki. Kiedy oprzytomniałem, leżałem w kałuży krwi. Nie dawano mi jeść. Umarłbym z głodu, gdyby nie moi koledzy, którzy po kryjomu opiekowali się mną i dzielili swym jedzeniem.

Aż wreszcie udało mi się uciec. Pewnej nocy zorientowałem się, że strażnicy niezbyt dokładnie skuli mnie łańcuchem. Uwolniłem się. Przedarłem się nocą przez gęste, kolczaste zarośla. Następnego dnia trafiłem do wsi i poprosiłem o pomoc. Wreszcie po wielu latach byłem wolny...

Ten artykuł pt. „Byłem niewolnikiem" poruszył opinię publiczną w Pakistanie. Ale na tym tylko się skończyło. Dalej grasują bandy porywaczy, giną dzieci, które później pracują w straszliwych warunkach dla szefów band.

Oprac. JERZY KOWALKOWSKI
Rys. **M. Teodorczyk**

Panie ratowniku, my tylko do kolan...

Oglądałem niedawno rysunkowe wspomnienie lata. Kilka metrów od brzegu rozsłonecznionej plaży stoi potężny ratownik z maczugą w ręku. Na brzegu zbita grupka kolonistów doprasza się łaski wejścia do wody. Boją się złamać wydany zakaz. Zadowolony dżentelmen w kąpielowych spodenkach jest zbyt groźny. No i nie możnka przecież burzyć jego spokoju... Ten nie tonie, kto nie pływa, czyż nie tak?

Zapewne – skrót myślowy rysownika. Mając wszakże niejakie znajomości wśród byłych kolonistów zapytałem, czy rozumieją w czym rzecz. Tak. Tyle że zamiast maczugi – objaśniono – częściej jest w użyciu sakramentalne zdanie „Nie będziesz pływał do końca turnusu". Skuteczność gwarantowana. W końcu nie po to jedzie się nad morze, by zostać pozbawionym przyjemności kąpieli.

Ratownicy... W iluż kolonijnych pamiętnikach do nich właśnie kierowane są najgłębsze westchnienia? Na ilu królowali już balach, ile złamali serc i ile wzbudzili mściwych zamiarów? Doprawdy, wspaniale wyglądają czujnie znieruchomiali na swych wysokich wieżyczkach, wywrotnych łódkach, albo leniwie opryskując wodą chichoczące dziewczyny! Pierwsi ruszają do tańca, pierwsi namaszczają olejkiem blade ramiona drugiego turnusu, najwięcej jedzą, najdłużej śpią i wszystkich znają. Słowem – doskonałość wcielona.

Niech im tam... Taka już tradycja. Czasem tylko w przeciwległym końcu obozu, z dala od namiotów, można usłyszeć chór męskich głosów: „Idziemy do wody bez gwizdka, a jakby co, to go we czterech..." I to też jest tradycją.

Skąd w ogóle po wakacjach taki wakacyjny temat? Przecież jesteśmy już w domach, dawno rozpakowano walizki i plecaki, skończyło się lato i związane z nim sprawy... Otóż nie dla wszystkich i nie zawsze. Zostały adresy kolegów z grupy, wspólne zdjęcia zrobione przez pana Miecia z pobliskiego miasteczka i mocne postanowienie: spotykamy się w ostatnią niedzielę września. Pal sześć, zaprosimy i ratownika. I tak zrobiłyby to za nas dziewczyny...

Są więc rzucane znad lodów wspominki, ucieszne opowiadania o tym, czego oczy wychowawców nie dostrzegły, próby przeciągnięcia lata w nieskończoność, poprzez zimę, do przyszłego roku. Z boku siedzi były ratownik, poszarzały jakoś w odświętnym ubraniu, jakby mniej wspaniały, mniejszy. Wrócił już do pracy, albo przygotowuje się do zaległego na studiach egzaminu – stracił moc zakazywania czegokolwiek na długich dziesięć miesięcy. Czasem nie mówi nic, czasem o swoich kłopotach. Ale cokolwiek by nie czynił, nie jest już Tamtym Ratownikiem. Jest cywilną osobą, którą albo się polubi na nowo, albo nie.

Wakacje zmieniają ludzi – i nie dlatego nawet, że rosną wówczas szybciej i stają się więksi. Czas pozbawiony obowiązków powoduje niekiedy, że tracimy z oczu te wartości, którymi kierowaliśmy się cały rok. Szkolni koledzy już nie bawią – nie potrafią na przykład pływać i źle grają w ping-ponga. Szuka się nowych sympatii. Także nie lubi się całkiem nowych osób.

Potem jest powrót. Jeszcze usiłujemy udawać przez tę jedną wrześniową niedzielę, że dalej jest tak, jak w lipcu i sierpniu. Ale czy kto słyszał, by się to udało? Co właściwie takiego widzieliśmy wspaniałego w niektórych obozowych znakomitościach? Czym mógł nam zaimponować ten niepozorny facet w spodenkach ratownika?

Bo lato jest jak bal karnawałowy. Dopóki trwa, gotowi jesteśmy słuchać wybranego Króla Balu nawet wówczas, gdy jest głupi. Taka umowa, taki zwyczaj. Ale gdy milknie muzyka, gdy odbieramy z szatni palta – król przestaje być królem. Nie działa już moc jego rozkazów. Jesienią ratownicy przestają być wspaniali dlatego tylko, że ktoś się tak kiedyś umówił. Są tacy, którzy tego nie rozumieją. A nieporozumienia – nawet te letnie – to temat na cały rok.

MAREK ZARĘBSKI

DANUTA ZIELIŃSKA

UCIEC JAK NAJDALEJ?

RABKA. Uroczy zakątek południowej Polski. Położona wśród gór i wysokich sosnowych lasów. Nie ma tu jeszcze strzelistych dziesięciopiętrowych wieżowców, tylko niskie, drewniane chatynki. Cisza i do tego jeszcze wspaniały górski klimat. Doskonałe warunki do rekonwalescencji po przebytych chorobach. Właśnie do Rabki każdego roku przyjeżdżają setki małych pacjentów.

Śląski Ośrodek Rehabilitacji Dzieci im. W. Pstrowskiego. Dochodzi siódma. Na korytarzach jeszcze cisza i spokój, tylko lekarz i pielęgniarki mają pełne ręce roboty. Trzeba przygotować listę małych pacjentów na badania okresowe, na specjalistyczną gimnastykę, no i oczywiście sporządzić raport z ostatniej nocy. W poczekalni kilka osób, przeważnie kobiet. Zapewne matki maluchów przebywających tu na leczeniu. Niecierpliwią się. Siedząca z boku pani co kilka minut z niepokojem spogląda na zegarek, a stojący obok niej chłopiec bacznie obserwuje korytarz. Jest wyraźnie zdenerwowany. Nic dziwnego, bowiem za chwilę zostanie wpisany na listę pacjentów, pożegna się z matką i pozostanie w Ośrodku na kilka miesięcy.

– Tak trzeba, synku – szepce mama i ukradkiem ociera łzę z policzka.

10 maja 1978 r. Orzeczenie lekarskie: „Stan po zapaleniu dróg oddechowych, uporczywe bóle stawowe, zmiany opłucnej. Konieczne leczenie wielospecjalistyczne." Z takim orzeczeniem Jarek zostaje wypisany ze szpitala.

22 czerwca. Jarek już wie, że wakacje będzie musiał spędzić w ośrodku rehabilitacyjnym. Brzmi to dla niego jak wyrok. Pryskają jak mydlana bańka sny o wyjeździe na żagle, pod namiot do lasu. Z pożegnania z matką zapamiętał: „Cieszę się, że jedziesz do tego sanatorium, że będziesz się leczył". Obiecał wtedy, że zostanie...

Chłopaki z sali Jarka powiedzą potem: stał z boku i jakby nie bardzo wiedział, co się wokół dzieje.

24 czerwca. Jarek decyduje już ostatecznie. Ucieknie! I tylko o tym teraz myślał, szykował swój plan i nadal był smutny i obojętny na wszystko.

Po co ja tu jestem? Chory. Możliwe, ale nie aż tak bardzo, żeby nie móc przyjechać później, ot, chociażby w roku szkolnym. Mógłbym się uczyć w szkole sanatoryjnej, a zawsze byłoby lżej niż w wakacje. Wypchnęli mnie, żebym nie przeszkadzał, a sami pojechali na wczasy! Nie, jeszcze nie wyjechali. Wyjeżdżają w czwartek. Zwiewam stąd. Co mi mogą zrobić. Nie wrócę tu już nigdy! Romek jak uciekł i odnaleźli go, nie został po raz drugi przyjęty. Doktor się nie zgodził. To i lepiej, dla mnie oczywiście.

Tego dnia Jarek w nocy nie spał. Kiedy zgasły ostatnie światła w korytarzu, spakował swoje rzeczy i czekał. Chłopcy mu pomagali. Tylko Krzysiek odradzał.

– Nie wygłupiaj się – mówił – jesteś pierwszy raz, ale zobaczysz, że jest naprawdę fajnie. Baśka jest już ósmy raz i wcale się nie buntuje. Jarek...

Nie słuchał. Chwycił torbę i wyskoczył przez okno. Dopiero rano zauważono zniknięcie Jarka. Siostra oddziałowa narobiła rabanu. Zaalarmowała wszystkich. W oddziale pierwszym wybuchła prawdziwa panika. Pytano kolegów, gdzie on jest, czy wychodził, ale nikt nie wiedział, nikt nie chciał powiedzieć.

Doktor Dąbrowski przeraził się najbardziej, on najlepiej wiedział, jaki jest stan zdrowia chłopca. Zarządził poszukiwanie. Szukali na dworcu PKS, potem na PKP. Nie było go nigdzie. Co się stało? Ucieczka? Chyba nie. Czyżby wyszedł i zgubił drogę? Najgorsze myśli przychodziły panu doktorowi do głowy. Jarka wszyscy lubili, a najbardziej lekarz. Ciągle opowiadał, że takiego syna to chciałby mieć, bo taki rozsądny i mądry. Wieczorem wysłano telegram do domu. Całą noc personel ośrodka nie zmrużył oka. Czekali na wiadomość.

Autobusu do domu już nie było. Jarek nie mógł jednak zostać na dworcu. Wiedział, że wcześniej czy później znajdą go. Uciekać, przede wszystkim jak najdalej od Rabki. Tak, jak najdalej.

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

NAL PO TARNOWSKU czyli recepta na sukces

Dorota Florek jest łączniczką. Dzięki niej gminny sztab NAL utrzymuje (a właściwie – utrzymywał, bo w tej chwili dawno już przecież po wakacjach) kontakt ze wszystkimi wakacyjnymi zastępami. Było ich w gminie 28. Sporo obowiązków jak na jedną Dorotę.

Chrzest bojowy przeszła zaraz na samym początku wakacji, jeszcze w czerwcu. W sobotę po południu dowiedziała się, że w niedzielę rano ma się odbyć zbiórka wszystkich zastępowych. Cóż było robić – wzięła rower i zaczęła jeździć po wszystkich drogach i dróżkach. Do niektórych zastępów musiała dojść piechotą – piach, tam, gdzie nie było nikogo w domu – zostawiała kartki pod progami, w oknach... Następnego dnia poszła na zbiórkę z... duszą na ramieniu. Trochę obawiała się, czy wszyscy znaleźli kartki. Ale całkiem niepotrzebnie! 28 zastępowych zjawiło się w komplecie.

Wiele jeszcze razy odwiedzała wszystkie wakacyjne zastępy. Woziła koperty i znaczki na meldunki, plakaty, zawiadomienia... Najdłużej wspomina wizytacje baz. Przyjmowano ją jak starszą koleżankę, ale również jak kogoś bardzo ważnego, kogoś, komu można pokazać się z jak najlepszej strony. Tych dobrych stron było bez liku. Dorota długo potrafi wymieniać, że ten zastęp zrobił to, tamten zastęp – tamto... Zapytana o najpiękniejszą ze wszystkich bazę odpowiada jednak bez wahania: „Najpiękniejszą bazę ma Krysia Kuczek!"

Jedziemy więc do Dołów, do Krysi. Droga biegnie krętym dnem doliny. Z obu stron – lesiste wzgórza, złocące się miejscami dojrzałym zbożem. Tuż obok drogi płynie strumień, przez który poprzerzucane są drewniane mostki i kładki. Malowniczo. Krysia mieszka kawałek od drogi, trzeba tam dojść piechotą, wspinając się po zboczu wąską ścieżką. Jeszcze stary sad i już jesteśmy na miejscu – piętrowy murowany dom, a na jego parterze jedna nie wykończona jeszcze izba. To w tej izbie „Turystki" urządziły swoją bazę. I to od razu, na pierwszej wakacyjnej zbiórce.

Był wtorek, popołudnie. Przyszły wszystkie. Nawet nie dzieliły się pracą, od razu było wiadomo, co trzeba robić. Teresa z Baśką przytoczyły brzozowe pieńki, Krysia przyniosła skrawki mchu do ułożenia na nie pokrytej jeszcze deskami podłodze. Było prawie jak w lesie. Zadowolone były, ale nie wszystkie, Eli coś brakowało.

– Wiecie co, zróbmy sobie kominek! – zaproponowała. No i zrobiły. Ze szczap i kamieni. Potem udekorowały gołe ściany. Własnymi rysunkami. Tymi, które miały w domach i tymi, które na poczekaniu narysowały. A jakże – na honorowym miejscu zawisł plakat reklamujący Mundial 78, był to wszak czas trwania mistrzostw świata. Od tych rysunków zrobiło się w bazie „Turystek" bardzo kolorowo.

W ten właśnie sposób rozpoczęły swoje wakacje kolorowych przygód – WKP. Udane bardzo. Raz tylko miały piekielną tremę, przed 22 lipca. Postanowiły zaprosić na zorganizowaną przez siebie uroczystość dorosłych, sąsiadów. Wszyscy przyszli już przed 16.00, usiedli na ławkach ustawionych w sadzie. Dorota trochę łamiącym się głosem powitała zebranych i zaprosiła do obejrzenia występów zastępu – były wiersze i piosenki. Potem podały upieczone przez siebie ciasto i herbatę. I... już skończył im się program, ale babcia Krystyny zaczęła wspominać lata wojny i pierwsze lata po odzyskaniu niepodległości i... nikt nie zauważył, że już zapadł zmrok. Uroczystość była jednym z najbardziej udanych przedsięwzięć zastępu. Co prawda główna w tym zasługa babci, ale przecież... babcia zastępowej, to więcej niż szeregowy członek zastępu.

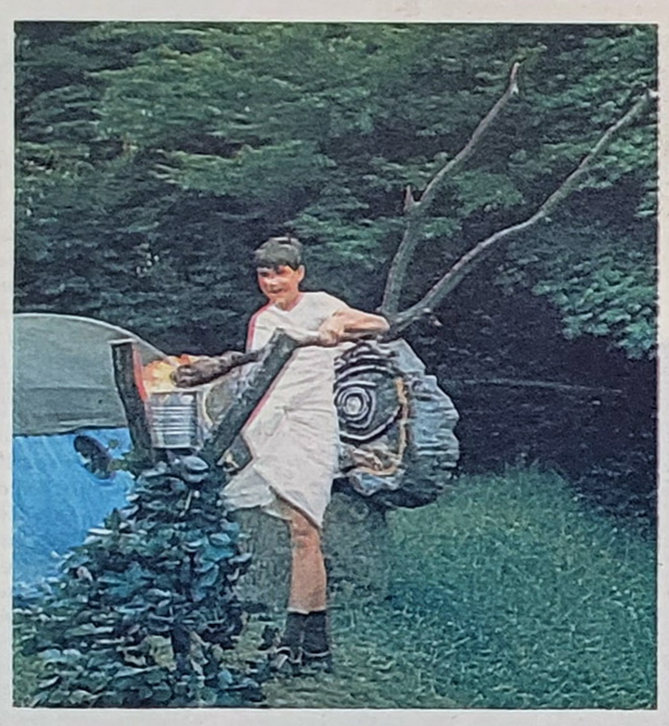

Drugi dzień zlotu upłynął pod znakiem sportu. Jak na olimpiadzie była flaga z pięcioma kołami i znicz, który zapalił Jacek Matusiak

Zwycięzcom olimpiady medale wręczał wojewoda tarnowski Jan Sokołowski

Inny zastęp, który odwiedziłam, to „Tarnowiacy". W przeciwieństwie do „Turystek" działają w mieście, w Tarnowie. Antek Szczepanik, zastępowy, jeszcze w maju stwierdził, że nawet jak człowiek w mieście siedzi, to wakacje mogą być udane. I że jego i jego kolegów takie właśnie będą, postanowił.

Na samym początku wakacji „Tarnowiacy" stwierdzili, że jednak za miasto ruszyć się też od czasu do czasu wypada, no, a żeby się ruszyć – trzeba mieć pieniądze na drogę. Postanowili je sami zarobić. Zabrali się na zioła. Próbowali zbierać pokrzywy, miętę, ale najlepiej szło im zbieranie kwiatu lipy. Narwali chyba z 5 kg. Rozłożyli tę lipę u Antka, żeby wyschła. A jak wyschła, dostali za nią 500 złotych! Mieli za co wypożyczać kajaki, za co kupować lody, no i na wyjazdy też starczyło. Tym bardziej, że na bilety wydawać nie musieli. Tak się bowiem złożyło, że każdy z „Tarnowiaków" ma swój własny rower.

Któregoś dnia Adam ogłosił generalny przegląd. Okazał się bardzo potrzebny – tu trzeba było dokręcić śrubkę, tam ustawić siodełko, jeszcze gdzie indziej łatkę na dętkę przykleić. Remont trwał cały piątek. Za to w sobotę bez przeszkód żadnych i niespodzianek dotarli do celu. Cel – to był las. Może nie całkiem bezpośrednio do tego lasu dotarli, bo po drodze zrobili jednak dłuższą przerwę. Jechali drogą i zobaczyli, że ktoś grabi siano.

– Może panu pomóc? – spytali.

Pan Mondel bardzo się ucieszył. A oni też, że są potrzebni i na coś się przydać mogą. Jeździli do niego przez tydzień – grabili, zwozili. Na koniec musieli tak ugniatać siano w stodole, żeby zmieściły się jeszcze trzy pełne wozy. „Wróciłem do domu taki zmachany – wspomina Antek – że nawet „bitelsów" nie miałem ochoty słuchać". Ale wspomina to z zadowoleniem...

Trudno opowiedzieć po kolei i szczegółowo to wszystko, co działo się przez całe wakacje we wszystkich wakacyjnych zastępach NAL w Tarnowskiej Chorągwi ZHP. Było ich ponad 2 tysiące. Korzystały z wakacyjnych propozycji „Gazety Południowej" i drukowanych w „Świecie Młodych". Miały też niemało całkiem własnych inicjatyw.

Meldunki nadsyłane z województwa tarnowskiego od samego początku przeważały nad innymi w naszej redakcyjnej poczcie, a jego mieszkańcy do końca wakacji nie oddali nawet na moment palmy pierwszeństwa w KONKURSIE 49.

– Skąd ten wielki sukces? – pytam **hm Alę Pietruchę, szefa chorągwianego sztabu NAL.**

– ***To żaden przypadek*** – odpowiada. – ***Wakacje w miejscu zamieszkania organizujemy od wielu lat. Dawniej, kiedy jeszcze należeliśmy do Chorągwi Krakowskiej, to też zawsze w NAL-u wyróżniały się dwa hufce: Dąbrowa Tarnowska i Tarnów. Mamy więc tradycje. To jedno. A drugie – to to, że nie opieramy się na samej tylko tradycji. Co roku przystępujemy do Nieobozowej Akcji Letniej z coraz większym rozmachem. Planujemy sobie wszystko znacznie wcześniej, na długo przed wakacjami, a potem – konsekwentnie swoje plany realizujemy. Podobnie zresztą jest z akcją organizowaną w czasie ferii zimowych, która nazywa się „Zima na medal". W tym roku będziemy ją organizowali już po raz ósmy.***

I przed latem i przed zimą działają sztaby we wszystkich hufcach. Jednym z ich zadań jest szkolenie zastępowych. Ale nie tylko zastępowymi się zajmują. Członkowie wszystkich sztabów wiedzą np. kto jest dorosłym opiekunem każdego z zastępów działających na ich terenie, mogą więc współpracować z opiekunami. I z Kołami Przyjaciół Harcerstwa, które dostarczają funduszy. Gdy z góry wiadomo, kto jest za co odpowiedzialny, do kogo można się zwrócić w razie czego o pomoc i radę, to zastępom jest łatwiej działać. U nas wszyscy już przyzwyczaili się do tego, że NAL po prostu jest. I nikt sobie nie wyobraża, że mogłoby być inaczej!

A więc – NAL po prostu jest. Teraz już wiem, dlaczego tarnowiacy nie mieli sobie równych w KONKURSIE 49. I to na dodatek w sytuacji, gdy większość zastępów realizowała zadania ogłaszane przez „Gazetę Południową", bardziej pasujące do realiów tego właśnie terenu. Ci nieliczni, którzy wybrali za swego wakacyjnego przewodnika „Świat Młodych" stanowili jednak taką siłę, że... nie był ich nikt w stanie przeskoczyć. Cieszę się, że właśnie oni okazali się najlepsi.

Przedstawiciele zaś tych najlepszych, wyróżniające się zastępy wakacyjne z Tarnowskiej Chorągwi ZHP, spotkali się pod koniec sierpnia na chorągwianym zlocie NAL w Piaskach-Dróżkach. Żałuję, że nie mogłam tam być obecna. Był za to **Jurek Dzikowski, który wykonał zamieszczone tutaj zdjęcia...**

ANNA PACIOREK
Fot. J. Dzikowski

Dużo emocji dostarczył konkurs na najlepszy plakat

W tym koszu zgromadzono wszystkie meldunki z NAL, 50 z nich wylosowano, a nadawcy dostali cenne nagrody

Rozmawiamy z autorem cyklu wspomnień:
„ARCHIPELAG LUDZI ZAGUBIONYCH"

Z perspektywy lat i doświadczeń...

W 96 numerze „Świata Młodych" zakończyliśmy ośmioodcinkowy cykl wspomnień Kazimierza Dębnickiego o współpracy z „Małym Przeglądem", spotkaniach z Januszem Korczakiem, o dojrzewaniu autora w kręgu Korczakowskich idei i tych niepokojów politycznych, które niosła rzeczywistość lat trzydziestych i zbliżająca się druga wojna światowa. Dzięki osobistym wspomnieniom obraz tamtych lat, dziś już coraz bardziej historyczny, nabiera żywszych barw i zapewne pomaga naszym czytelnikom wyobrazić sobie „kraj lat dziecinnych" dziadków i ojców. Była to tak odmienna rzeczywistość od naszej, a postać Starego Doktora na tyle niezwykła, że na zakończenie postanowiliśmy jeszcze zadać autorowi wspomnień kilka pytań:

„ŚWIAT MŁODYCH": Kiedy i jak zakończył Pan swoją współpracę z „Małym Przeglądem"?

KAZIMIERZ DĘBNICKI: Zbliżałem się do matury i choć jeszcze pracowałem w „Małym Przeglądzie" jakiś czas, było jasne, że ten etap w życiu się kończy, że więcej nie będzie Korczakowskich pocztówek, uroczystości „stuliścia". Nie tylko dlatego, że dorosłem, że dorosłymi stawali się moi koledzy i przyjaciele, że naturalną koleją rzeczy trzeba było ustąpić miejsca młodszym. Były i inne przyczyny, a miały one charakter już bardziej polityczny, chociaż skrywany, także i za parawanem niby Korczakowskich pomysłów. Sam Korczak o nich w ogóle najpewniej nie wiedział, a gdyby wiedział, to by najostrzej protestował. „Dzieci nie mają dla siebie miejsca, co na to powiedziałby Korczak..." – argumentowali z fałszywą troską o małe dzieci, panowie Appenszlak, Wagman i Szwalbe – bossowie gazety. Ale przecież nie o dzieci chodziło, a o nasze lewicujące poglądy i ich odbicie w tym, co pisaliśmy. Nie o dobro maluchów, lecz o dobro kieszeni tych prasowych potentatów z ulicy Nowolipki. I pozbyli się nas bez żalu.

Odpowiedzieliśmy na ten akt stworzeniem czysto już ideowego, politycznego tygodnika – „Wotum". Nazwaliśmy go „Wotum", co brzmiało wręcz religijnie, ale w rezultacie i tak nie oszukało cenzury. „Wotum", był to skrót od „wolnej trybuny młodzieży" (co zaznaczono w podtytule). I była rzeczywiście wolna. O tyle, o ile cenzura na to pozwalała. Numer po numerze „leciały", wyśmienite zresztą literacko, reportaże z życia proletariatu, z „miasteczek" bezrobotnych, z biednych polskich wiosek. Tu, w artykułach i felietonach mówiliśmy o Froncie Ludowym i Jednolitym Froncie, tu ostro przeciwstawialiśmy się wszelkim próbom dalszej faszyzacji kraju i polityce współpracy z Hitlerią, jak wtedy nazywaliśmy Rzeszę Niemiecką. Szły też doskonałe, celne reportaże Leny, Ryszarda Mirabla, samego Newerlego, moje również, w tym z podwarszawskiego „miasteczka" bezrobotnych, zwanego Solipse, koło Włoch. Było to zresztą wstrząsające osiedle nędzy, gdzie ludzie żyli w jamach i norach, w pofortecznych wilgotnych lochach, gdzie na rodzinę przypadała jedna para butów albo jedna sukienka dla kilku dziewczynek. Poezji w „Wotum" było mało. Jeżeli – to gniewna, rewolucyjna, Szymańskiego, Broniewskiego.

– A co na tę działalność byłych „małoprzeglądowców" mówił Janusz Korczak?

– Przyglądał się naszemu eksperymentowi uważnie, acz nie krył sceptycyzmu co do dalszych jego losów. Nie wiem, co mówił Igorowi Newerlemu, ale mnie któregoś dnia oświadczył, a było to po jakimś chyba reportażu Kożniewskiego albo Korkozowicza: „Przyznaję wam rację, ale to już nie jest „moje" pismo". I istotnie nie było. Było czysto polityczne i społeczne. Z Korczaka pozostało jedno: tolerancja. Tragedia polegała jednak na tym, że czasy nie sprzyjały tolerancji, że zmuszały do coraz ostrzejszych sformułowań i do coraz częstszego rozstawania się z tymi, którzy tym sformułowaniom byli przeciwni. Ideowo. Wbrew sobie samym, wbrew temu, co wynieśliśmy z Korczakowskiego „Małego Przeglądu" – musieliśmy stawać się nietolerancyjni, fanatyczni. A przecież dążyliśmy do czego innego. Z inną myślą zakładaliśmy nasze „Wotum". Ale już płonęły lasy... Róże stawały się nieważne.

Po dziewięciu czy dziesięciu numerach szykany cenzuralno-plicyjne położyły kres istnieniu „Wotum". Temu dorosłemu echu „Małego Przeglądu", któremu życie kazało stać się od tamtego pisma zupełnie różnym. Zdecydowanym wotum nieufności wobec całego kapitalistycznego świata...

CIĄG DALSZY NA STR. 5

PO XXI MIĘDZYNARODOWYM FINALE CZWÓRBOJU PRZYJAŹNI

A JEDNAK NA TARCZY

Sofia. Na koronie potężnego stadionu im. Wasyla Lewskiego powiewają flagi dziewięciu państw. Tyle właśnie reprezentacji przyjechało do stolicy Bułgarii na XXI Międzynarodowy Finał Czwórboju Przyjaźni. Naszych barw bronią uczennice Szkoły Podstawowej nr 12 z Jeleniej Góry oraz uczniowie Zbiorczej Szkoły Gminnej z Gubina. Już podczas uroczystej defilady daje się zauważyć, że polskim zawodniczkom i zawodnikom nie będzie łatwo uplasować się na czołowych lokatach. Ale nie uprzedzajmy faktów...

Upał nie do zniesienia. Temperatura powietrza 30°C. Tu, na dole stadionu, wiatru ani na lekarstwo. Ale tartanowa bieżnia znakomita. Już pierwsi czwórboiści ustawiają się w blokach; już mamy pierwszego pechowca. Jest nim Rumun Katalin Gujtan. Falstarty eliminują go z konkurencji. Jednak poziom sprinterskiego biegu może zachwycić każdego. Aż trzech zawodników, w tym dwóch Mongołów, uzyskuje czas 7,4 sek. Szczególną sensację wzbudzają lekkoatleci z Ułan Bator. Wszyscy są potężnie zbudowani, wprost nie chce się wierzyć, że mają po 13 lat. Mierzący 182 cm wzrostu Enhżargal Gemerbaagarin wygrywa czwórbój indywidualnie – 346 pkt.

Nasze dziewczęta spisują się lepiej od swoich kolegów. Drużynowo zajmują siódmą pozycję. Ewa Nowak (na zdjęciu), najlepsza z Polek, uplasowała się na 24 miejscu. W rzucie piłeczką palantową uzyskała 59,82 m, co w przeliczeniu dało jej 80 pkt. W tej konkurencji dominują reprezentantki Związku Radzieckiego, Mariana Gusjewa rzuca na odległość 62 m, jej koleżanka, Julia Liczagina, też przekracza „sześćdziesiątkę". Ten znakomity duet przegradza tylko Bułgarka Maria Stojanowa...

Tak skakała tegoroczna mistrzyni w skoku wzwyż Marianna Nienczewa z Bułgarii. Zajęła drugą pozycję w punktacji generalnej – 334 pkt, tuż za Węgierką Djurdi Domokos – 339 pkt. Nienczewa pokonała poprzeczkę na wysokości 164 cm. Ale w konkursie chłopców walka o pierwsze miejsce była niezwykle wyrównana. Aż trzech czwórboistów, dwóch Rumunów i Mongoł – uzyskali po 177 cm. Najlepszym z Polaków był Artur Moskal. Jednak wynik 165 cm zapewnił mu miejsce dopiero w drugiej dziesiątce skoczków.

W tegorocznym finale międzynarodowym po raz pierwszy w historii czwórboju rozegrano konkurencje biegowe na średnich dystansach: dziewczęta – 500 m, chłopcy – 800 m. Kapitalnymi umiejętnościami popisały się czwórboistki z Bukaresztu – dwie pierwsze lokaty. W gronie chłopców najlepsze czasy osiągnęli: Mongoł Sumia Łhagważaw i Bułgar Emil Cwietkow – obaj po 2.07,5 min. Artur Moskal miał czas 2.18,9 min.

Tekst i zdjęcia
ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI

ŁĄCZNA PUNKTACJA ZESPOŁOWA

1. Bułgaria	– 3112 pkt
2. ZSRR	– 3039 pkt
3. Rumunia	– 3021 pkt
4. Mongolia	– 2906 pkt
5. Czechosłowacja	– 2826 pkt
6. Węgry	– 2789 pkt
7. NRD	– 2711 pkt
8. Polska	– 2688 pkt
9. Wietnam	– 2624 pkt

Nasz komentarz

TARCZA JEST CORAZ CIĘŻSZA

„Swiat Młodych" jest inicjatorem czwórboju. Rozgrywany początkowo tylko w naszym kraju, później doczekał się międzynarodowej rangi. Nic więc dziwnego, że jako przedstawiciel redakcji z dumą uczestniczyłem w konferencyjnych obradach delegatów państw biorących udział w sofijskiej imprezie. Z radością – miałem przecież ku temu powody – słuchałem sprawozdań przepełnionych liczbami, niczym rodzynkami wielkanocne ciasto. Liczby donosiły o ciągłym wzroście popularności czwórboju, o rewelacyjnych rezultatach na wszystkich krajowych finałach nie tylko w Europie. Ale tuż po zawodach zrzedła mi mina...

Ktoś powiedział, że lubię szukać dziur tam, gdzie ich nie ma. Może to i prawda. Ale na stadionie w Sofii dziury znalazłem. A może mi się tylko tak wydawało? Nikt mnie jednak nie przekona, że wszyscy występujący tam zawodnicy odpowiadali regulaminowemu wiekowi. Niektórym z nich już się sypał wąs, a bary i uda mieli jak zaawansowani ciężarowcy. Można rzec, że to żaden argument, że obecnie młodzi ludzie szybciej rosną, dojrzewają... A jednak...

Rozgoryczony wynikami polskich czwórboistów, najwięcej rozmawiałem z zawodnikami innych drużyn. Odnotowywałem ich najlepsze wyniki osiągnięte na finałach krajowych, pytałem o szkoły, do których chodzą. I cóż się okazało? Po podsumowaniu punktów indywidualnych czwórboistek jednej z ekip otrzymałem sumę punktów całej drużyny. Szkopuł w tym, że ta suma była znacznie mniejsza od liczby podanej na... oficjalnej konkurencji...

Regulamin czwórboju mówi wyraźnie, że reprezentacja danego państwa (chłopców lub dziewcząt) musi być oparta na zawodnikach tylko jednej szkoły. Tymczasem pewna reprezentantka (nie Polski) zdradziła, że chodzi do innej aniżeli jej koleżanka z zespołu. Prawda, że zaraz się poprawiła, ale zmieszanie i rumieńce na twarzy dały mi dużo do myślenia.

Czwórbojowe rezultaty są coraz znakomitsze, coraz trudniej o indywidualny rekord. Jeszcze trudniej o drużynowy. My w tym roku nie nawiązaliśmy równorzędnej walki z wieloma zespołami. Wróciliśmy na tarczy. Nie znaczy to wcale, że biało-czerwoni nie byli przygotowani do rywalizacji na międzynarodowym finale. Nie mogli jednak zwyciężać z rosłejszymi od siebie przeciwnikami. Najwyższy czas, aby rozwiązać ten problem. Dla dobra czwórboju, zgodnie z jego ideą. (zp)

Szczęśliwa przyjaźń

Jestem uczennicą VII kl. Piszę w sprawie, która bardzo mnie zainteresowała. Gdy przeczytałam artykuł Skrzynki Zaufania „Zazdrość – złym doradcą", postanowiłam napisać. Pani Danuta Świerczyńska pisze, że przyjaźnie dziewczynek 10–12-letnich są nietrwałe, choć zdarzają się wyjątki. Ja jestem właśnie tym szczęśliwym przypadkiem. Przyjaźń zawarłam z Renią w klasie drugiej i do tej pory jesteśmy wspaniałymi przyjaciółkami. Choć muszę przyznać, że w klasie VI „puściłam ją kantem". Jednak w porę zorientowałam się, jaki błąd zrobiłam. Renata zrozumiała i wybaczyła mi. Takiej przyjaciółki życzyłabym każdej dziewczynie i chłopakowi.

„Szczęśliwa przyjaciółka"

Zofia Gutkowska, Galczyn 06-450 Glinojeck – interesuje się muzyką rozrywkową i sportem, zbiera fotosy piosenkarzy. Bardzo chce znaleźć korespondencyjnych przyjaciół.

Ach te piegi...

Aniu! Ja też mam piegi i przez pewien czas również byłam z tego powodu lekko „zakompleksiona", ale później stwierdziłam, że: „jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma" i przestałam przejmować się tym – jak niektórzy twierdzą – mankamentem urody. Wydaje mi się, że zbyt wyolbrzymiasz ten fakt i mogę się założyć, że Twoje otoczenie nie przywiązuje wagi do tego, jakże drobnego szczegółu, najmniejszej wagi. Aby zyskać sympatię koleżanek i kolegów, trzeba zbagatelizować swoje kompleksy, bo bardzo często przeszkadzają one w zachowaniu dobrego nastroju. Bądź wesoła i ciesz się, że nie masz większych zmartwień, bo są ludzie w Twoim wieku, którzy mają ich o wiele więcej, a utrzymują pogodę ducha, potrafią być dowcipni – i dzięki temu są lubiani. Naucz się być pogodna i życzliwa wszystkim, a zobaczysz, że wokół Ciebie znajdzie się wielu przyjaciół. Kończąc, życzę Ci, abyś znalazła zrozumienie i sympatię otoczenia, prawdziwych przyjaciół – bo to bardzo ważne, dzięki przyjaźni stajemy się optymistami. Musisz się postarać, żeby innym było z Tobą dobrze. A wtedy piegi staną się ozdobą – sama się przekonasz.

Beata

KONNO ZBROJNIE W ŁOPOCIE PROPORCÓW

W lipcu 1978 roku na Zamku w Golubiu-Dobrzyniu odbył się II Wielki Turniej Rycerski. Nie stawaliśmy w turniejowe szranki, już to z braku mieczów i ostróg, już to z powodu słabego wyćwiczenia we władaniu kopią. 97 rycerzy spod znaków chorągwi z całego kraju, dzielnie stając na ubitej ziemi, walczyło o Wielki i Mały Miecz Zamku Golubskiego, o szablę tegoż Zamku, historyczne ostrogi i Pierścień Kmicica. Nagrody rozdano. Dźwięki fanfar i żywy aplauz licznie zgromadzonych dam dworu obwieścił chwałę najlepszych rycerzy Rzeczypospolitej.

Minęło kilka tygodni – pokornie obciągając cywilne giezła stanęliśmy przed zamkową bramą, by usłyszeć z ust samego Kasztelana, co czynić należy, by zostać powołanym do rycerskiego stanu. Objaśniono nas. Oto pieszych (jeszcze) giermków pilne sprawozdanie: z niezwyczajnej działalności Zamku, z ćwiczeń w jeździe konnej przyszłego rycerstwa, z prac przy oporządzaniu rycerskich rumaków.

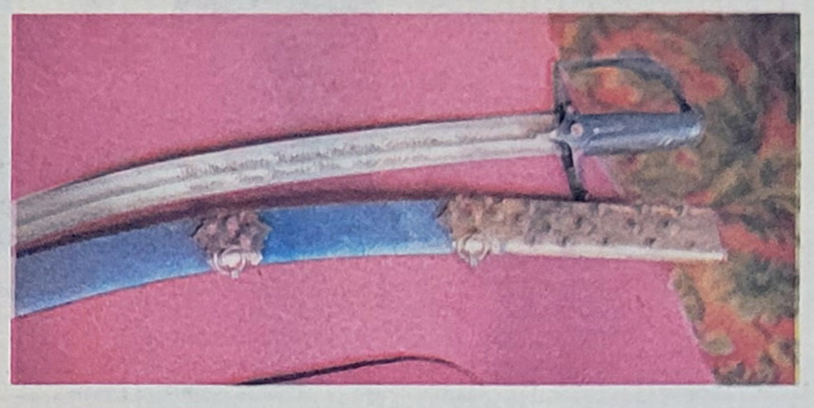

ZAMEK

Magister Zygmunt Kwiatkowski, Dyrektor Zamku w Golubiu-Dobrzyniu, Prezes Zarządu Oddziału PTTK tamże:

– Uparłem się, aby w tych murach nie straszyła zwykła muzealna cisza. Aby jak w siedemnastym wieku, za czasów właścicielki i największej opiekunki Golubia, Anny Wazówny, tętniło tu życie. Czuję się do tego zobowiązany przez miejscowego ducha raz do roku ukazującego się wszystkim zebranym na uroczystym balu. Tak, mamy tu bowiem i bale z udziałem ducha Anny Wazówny... właśnie.

Same turnieje rycerskie to tylko część naszej działalności. Na zamkowym dziedzińcu odbywają się także konkursy krasomówcze, a w komnatach spotkania historyków z całego świata. Zapewne, konne zmagania rycerzy są sprawą najbardziej widowiskową, przemawiającą do wyobraźni. Dlatego ich przygotowanie trwa długo i jest dość skomplikowane. Zależy i mnie, i moim konsultantom, by ta poglądowa lekcja historii czegoś konkretnego widzów nauczyła. Nie chcąc wprowadzić ich w błąd musimy zadbać o wierność historycznym szczegółom: rycerskie chorągwie muszą mieć zatem takie same barwy i kształty jak ongiś. Taka sama musi być broń i takie same przepisy turniejowe. Ze względów bezpieczeństwa zrezygnowaliśmy z pieszych walk na topory i ostre miecze. Ale rzut włócznią z galopującego konia, atak kopią na pierścień i zbieranie obręczy z ziemi – i również w pełnym galopie – to próby do jakich rzeczywiście kiedyś stawano. Wymagają na pewno dobrego opanowania jazdy konnej i odpowiednich ćwiczeń.

Na szczęście istnieje na Zamku Klub Jeździecki, mamy też możliwość korzystania z wierzchowców i strojów sporządzonych dokładnie według historycznych wzorów. Każdego roku wysyłamy zaproszenia do podobnych klubów w całym kraju. Zjeżdżają się miłośnicy sportu i historii. Otwieramy Turniej – i Zamek żyje...

KONIE, JEŹDZCY, ZBROJE

Konie są własnością PGR Sokołowo. Pomiędzy dyrektorem Kwiatkowskim, a dyrektorem Zjednoczenia PGR w Toruniu, Jerzym Czarneckim oraz szefem Sokołowa, dyrektorem Janem Jełtoszukiem, zawarte jest porozumienie. Klub Jeździecki ujeżdża i opiekuje się końmi, te zaś zarabiają na siebie dzięki organizowanym na Zamku „wczasom w siodle". Trochę to skomplikowane, ale działa niezawodnie.

Jeźdźcy zgrupowani są w czterech sekcjach: młodzież zaawansowana i początkująca, podobnie osoby dorosłe. Najmłodszy, Jarek, ma dopiero cztery lata i sądząc z zapału do jazdy Pierścień Kmicica doczeka się kiedyś godnego zdobywcy. Przeciętna wieku grupy, z którą ćwiczyliśmy wspólnie galop i kłus anglezowany – 12 lat. Jeżdżą również dziewczyny i robią to doskonale. Iwona zachowując znakomitą postawę jeździecką nie spadła w przeciągu 2 godzin ani razu. Jej koledzy aż cztery! Podobno później proporcje upadków nieco się zmieniają. Na całe szczęście młodzież męska bez zastrzeżeń radzi sobie w dźwiganiu kopii. Waga kopii: 5 kg. Całego rycerskiego rynsztunku: około 10 kg. Nie jest to dużo, zważywszy, że hartowaną stal zastąpiły w tym wypadku tworzywa sztuczne. Kłopot polega na tym jedynie, że rozpędzony koń i opancerzony jeździec poruszają się po linii, którą trudno byłoby nazwać prostą. Trafienie parumetrową, rozchwianą w pędzie kopią w niewielki pierścień wymaga zaiste niezwykłej biegłości i sporej siły. Nikt się zatem nie dziwi, że dziewczyny wolą być damami dworu. Chociaż – nie jest łatwo jeździć konno w długiej, plączącej się sukni z trenem...

ĆWICZENIA

Zbiórka w szeregu na dziedzińcu PGR Sokołowo. W pierwszej grupie pojedzie osiem osób. Padają imiona koni i jeźdźców. Ty – do Majora! Ty – do Warlendy! Jeszcze Grom, Sułtan, Alaska, Burza, Emilka i Piorun. Do czyszczenia koni, marsz!

Czyszczenie i zakładanie siodeł trwa około pół godziny. Potem zbiórka i rozkaz na konie! Prowadzący zajęcia dyrektor Kwiatkowski wyrusza na czele grupy na odległą o kilkaset metrów leśną polankę, miejsce stałych ćwiczeń. Tu zaczyna się zwykła praca – nad postawą młodych jeźdźców, nad opanowaniem przez nich dosiadanych rumaków. Kłus, galop, kłus anglezowany – i jeszcze raz, od początku. Alaska pochyla łeb. Czeka na reakcję przyszłego rycerza. Reakcji nie ma. Łeb zjeżdża jeszcze niżej, koński zad gwałtownie wylatuje w powietrze i jeździec jak wyrzucony z katapulty ląduje w trawie. Z boku wygląda to groźnie, ale po chwili okazuje się, że można nauczyć się i spadania. Który to upadek? W tym miejscu dopiero trzeci... Czy któryś zakończył się groźniejszym potłuczeniem? Nigdy...

Na końskim grzbiecie nie da się przyjąć postawy nieruchomo wyniosłej. Kto się nie podda harmonijnym ruchom zwierzęcia, będzie jechał na nim jak worek cementu.

Dosiadamy wierzchowców i my. Trzęsie niemiłosiernie, po kilku minutach mamy absolutnie dosyć. Bolą nogi, ramiona, kark. A przecież ciągnie ku postanowieniu – za chwilę wsiądę znowu. Może bez użycia strzemion, jak na westernach? Próbuję. Auuu, więcej nie będę...

Strasznie trudno być rycerzem!

MAREK ZARĘBSKI
Fot. **Marek Szymański**

Z perspektywy lat i doświadczeń...

CIĄG DALSZY ZE STR. 4

– Nie sprawdzał się więc w życiu system Korczakowskich wartości?

– A jednak pewne wartości systemu Korczakowskiego pozostawały trwałe i celowe zarówno w okresie „Wotum", jak i w późniejszym czasie „wielkich krematoryjnych pieców". Odwaga głoszenia i obrony własnych poglądów, umiejętność pracy kolektywnej i jej organizowania, samodzielność w działaniu i gospodarność tego działania. Zarzucano często Korczakowi, że wychowuje swoje dzieci w swoistym cieplarnianym laboratorium pedagogicznym, czym jakoby osłabiał ich odporność wobec twardych reguł normalnego życia. Że uczył dobroci i uczciwości, a przecież w życiu nie zawsze mieli się z takimi wartościami spotykać.

Doświadczenie nas samych, i w „Wotum", i w pracy politycznej, i w walce z okupantem wykazało, że wpajane nam zasady w niczym nie naruszyły naszej odporności psychicznej na trudy życia i polityki, i wojny. Zapominano bowiem, i do dziś się zapomina, że zasady Korczaka mówiły także o prawie dziecka do samodzielności i dzielności, do radzenia sobie w najbardziej trudnych sytuacjach. Że głosiły prawo do materialnej – w ramach możliwości dziecka, ale uczącej je postępowania w przyszłości już dorosłej – niezależności i gospodarności. Wychowując dzieci i młodzież w kolektywie, tworząc im warunki kształtowania własnej, opartej o sprawiedliwość, społeczności, wpajał w wychowanków przekonanie iż muszą i mogą być niezależni, odważni, dobrze sobie radzący. Samodzielność, umiejętność podejmowania szybkich decyzji, zaradność w połączeniu ze skłonnością do kolektywnego działania, to były elementy naszej psychiki bardzo przydatne w konspiracji, w walce.

Oczywiście dla wielu z nas pozostało z tamtych, „małoprzeglądowych" i Korczakowskich czasów coś jeszcze, coś, co zadecydowało o drodze życiowej: pisanie. Wielu stawało się dziennikarzami, pisarzami, inni wybrawszy zawód wychowawców czy psychologów umieli swoje doświadczenia przekazywać nie tylko słowem mówionym, ale i pisanym.

Wreszcie coś, o czym nie wspomniałem w poprzednich odcinkach. Miałem jakieś wewnętrzne opory. Chodzi o głupotę i mądrość, o błyskotliwą inteligencję i talent, i o mierność, nawet pewne zacofanie w rozwoju umysłowym. Korczak nie dzielił tak swoich dzieci. Niemniej kochał te mądre i zdolne, jak i te słabiej umysłowo rozwinięte. Oczywiście stał na stanowisku stosowania pedagogiki specjalnej, w przyjmowaniu do swego Domu stosował określoną selekcję, konieczną z racji wychowawczych. Ale kochał, a w każdym razie głosił miłość do wszystkich. Otóż nigdy nie potrafiłem w tamtych czasach uznać tego właśnie stanowiska Korczaka. Głupich nie lubiłem, niedorozwinięci stanowili dla mnie świat obcy i trudny nie tylko do kochania, ale i akceptacji. Dlatego pewnie te opory przy pisaniu „Archipelagu Ludzi Zagubionych", gdy tylko dochodziłem do tego tematu. Ale gdy przyszła wojna, okupacja, faszystowskie bestialstwa, z nimi zaś mordowanie ludzi także pod pretekstem, że są niedorozwinięci, psychicznie chorzy, że są debilami czy imbecylami, gdy wreszcie całe narody zostały uznane za mniej wartościowe, zrozumiałem, że Korczak miał rację.

Kiedy zaś w Tworkach zamordowano wraz z innymi pacjentami towarzysza z kieleckiej konspiracji, który pod presją koszmaru okupacyjnej walki uległ chorobie psychicznej – zrozumiałem, że nie tylko miał rację, ale, że trzeba tę rację dalej głosić, bo wcale jeszcze się na dobre w społeczeństwie nie przyjęła. Co nie znaczy, że sam nie muszę siebie na każdym kroku kontrolować i wystrzegać się przed dzieleniem ludzi w ogóle, a dzieci szczególnie, na tych mądrych i tych głupich, na tych, których się szanuje i tych, którymi się gardzi albo ich lekceważy. Zresztą życie nauczyło mnie, że podział taki bywa złudny, że ci przesadnie chwaleni za mądrość bywają o wiele głupsi od własnej chwały.

– Pogrzeb się trochę w człowieku i zaraz zobaczysz, ile w nim jest głupoty, chociaż mówią: o, jaki on mądry. Pogrzeb w innym, a zobaczysz, jak ten niby „głupi" odczuwa, ile w nim wartości, jak jest wrażliwy...

Tak mniej więcej kiedyś tłumaczył mi Korczak. Wiele czasu i wiele doświadczeń musiało upłynąć, bym to akceptował.

– Czy wychowankowie, przyjaciele, nie próbowali uratować Doktora, ocalić go od tej męczeńskiej śmierci?

– Pierwszego września 1939 roku major rezerwy WP, dr Janusz Korczak, zaczął swoją własną wojnę z hitlerowskimi Niemcami. Była ona i pozostanie w naszej narodowej pamięci składową wielkiej, obronnej i w końcu zwycięskiej wojny całej Polski. W tej osobistej wojnie Korczaka o życie Domu Sierot, o życie wychowanków – brało udział wielu ludzi. Wojna Korczaka zaczęła się także od pomocy dla dzieci polskich w Domu na Bielanach. Korczak dostarczył im przez Zdzisława Sieradzkiego worki z soczewicą. Po raz pierwszy w życiu polskie sieroty i ich wychowawcy jedli tę, znaną im chyba tylko z podań biblijnych, potrawę.

Rzecz jasna, że w pierwszym rzędzie do akcji pomocy Korczakowi przystąpili ci, dla których kontakt z Doktorem i Jego Domem był przez całe lata częścią ich własnego życia. Igor Newerly, jego żona, Basia, dawni wychowankowie Korczaka i wielu innych. Pomagali pracownicy Domu Dziecka im. Baudouina (czyt. Boduena) z pomocą szło wielu polskich intelektualistów, ale także radykalne podziemie antyhitlerowskie, w tym utworzona z dawnych ZNMS-owców już na przełomie 1939–1940 roku Organizacja Socjalistyczna „Gwardia". Pamiętam, że na jednym z pierwszych posiedzeń kierownictwa „Gwardii", w mieszkaniu przy ul. Wilczej 5, zapadła decyzja pospieszenia Korczakowi z pomocą. Zostałem upoważniony do zorganizowania i przekazania tej pomocy. Było to, jeśli mnie pamięć nie zawodzi, wczesną wiosną 1940 roku.

W tej akcji pomagali mi, dziś już nieżyjący towarzysze, koledzy z Wydziału Lekarskiego UW, Tadeusz Deduchowski i Ludwik Roztkowski. Obaj zresztą przed wojną Korczaka nie znali i ani z „Małym Przeglądem", ani z Domem Sierot nie mieli nic wspólnego. Pospieszyli na pomoc z nakazu serca i obowiązku patriotycznego. Pomoc taką nieśli i inni, – akowcy, peperowcy, „Żegota", katolicy, ludzie świeccy i duchowni. Nie zapomnę również kilku Niemców, którzy o Korczaku słyszeli i którzy sami zaofiarowali pomoc pieniężną. Byli to Max Lindner, Walther Speich i Heinz Martin.

Korczak – człowiek, który głosił prawa miłości, szacunku i godności – w tych najcięższych chwilach swego życia nie był samotny, także jeśli chodzi o tę „aryjską" część okupacyjnego świata. Jeżeli w ogóle można nie był samotnym, gdy idzie się na spotkanie śmierci. Nawet z małym dzieckiem w ramionach...

Pamiętam, że gdy proponowałem mu ucieczkę, mówił: dobrze, ale z dziećmi. Uratować Jego jednego mogliśmy łatwo, ale Jego dwieście dzieci...

Notowała: **BARBARA TYLICKA**

GWIAZDOZBIÓR

W atmosferze magicznej – rozmowa z GUSTAWEM HOLOUBKIEM

„Sztuka dramatyczna rządzi się swoją własną poetyką. Wynika ona z podstawowego faktu obcowania ze sobą żywych ludzi, z których jedni proponują fikcyjną rzeczywistość, a drudzy poddają się tej mistyfikacji, zaś powodzenie tego przedsięwzięcia zależy od stopnia doskonałości atmosfery magicznej. Któż jest jej sprawcą, jeśli nie aktor"... Nie zwietrzały te, wypowiedziane przed laty, słowa Gustawa Holoubka, tak trafnie i skrótowo oddające sens kunsztu aktorskiego. Mówi się, że Holoubek ma absolutny słuch teatralny – dar niezwykle rzadki, podobnie jak w muzyce. I dlatego tak umie przekonywać do prawd życia, objawianych na scenie. Niezależnie od tego, czy gra Mickiewiczowskiego Konrada, Sofoklesowego Edypa, Goetza w „Diable i Panu Bogu" Sartre'a, czy też Skrzypka w „Rzeźni" Mrożka i Szekspirowskiego Króla Leara. Te dwie ostatnie wielkie kreacje przyniosły mu tegoroczną Nagrodę Państwową I stopnia.

– Czy sztuka aktorska nadąża, zdaniem Pana, za tempem przeobrażeń świata?

– Na ogół tak. Tam, gdzie nie nadąża, jest po prostu kompromitowana przez publiczność, nieakceptowana. Powiem nawet więcej. Mam obawy, że tu i ówdzie tak nadąża, iż zaczyna kokietować wszystko to, co jest zaledwie pomysłem na przyszłość. Utożsamia się z ekscesami o cechach ekstrawanckich, nie mających nic wspólnego z potrzebami współczesności.

– Na przykład?

– Wszystkie enuncjacje teatralne dotyczące ingerencji w publiczność, brutalnie wciągające ją we współtworzenie gry scenicznej.

– Nie uznaje Pan tych sposobów?

– Jestem temu absolutnie przeciwny. Jest to działanie burzące naturę przedmiotu, naturę relacji między widzem i aktorem, polegającą na izolacji widza od sceny. To, co nazywamy kontaktem i uczestniczeniem widzów w dziele teatru, odbywa się incognito, w pełnej intymności i w sposób całkowicie niematerialny.

– I nie obawia się Pan pomówień o nienadążaniu za nowoczesnością?

Nowoczesność dotyczy przede wszystkim tej sfery, która jest pytaniem o współczesny sens egzystencji. I sądzę, że zawsze tak było; każda nowoczesność do tego się sprowadzała. A ja usiłuję na to pytanie, w miarę swych skromnych możliwości, odpowiedzieć. Nie obawiam się więc, że zostanę pomówiony o wstecznictwo.

Nie uznaję teatru, który szokuje i ogłupia, zamiast uspokoić i zmusić do myślenia i odczuwania.

– Na czym polega, zdaniem Pana, istota sztuki aktorskiej?

– Nie chcę wdawać się w skomplikowane dywagacje o naturze tej twórczości. Jej specyfika polega na tym, iż narzędziem pracy jest sam twórca. Chciałbym tutaj zgodzić się entuzjastycznie z tym wszystkim, co Kazimierz Dejmek powiedział w ostatnim swym wywiadzie w „Polityce", a co dotyczyło pochwały rzemiosła, czyli umiejętności. Jestem ciągle, od początku, zdania, że aktorstwo jest umiejętnością, której nie tylko można, ale trzeba się nauczyć. Od stopnia doskonałości wykonywania tego zawodu zależy rezultat artystyczny. Grzechem podstawowym i największym niebezpieczeństwem aktora jest przekonanie, iż ma coś do powiedzenia z zakresu myśli i uczuć, zanim potrafi je wyrazić. Innymi słowy, zakłada artyzm, zanim potrafi go sformułować.

Trudno byłoby mi mówić o rezultacie artystycznym, o jego cechach. Kwalifikowanie nie należy do mnie, lecz do opinii publicznej. Przypuszczam, że twórczość aktorska jest podobna do twórczości w innych dyscyplinach i tak jak tam pojawiają się w niej dzieła, mające cechy wielkiej sztuki.

Myślę, że podstawową metodą na osiągnięcie dobrego rezultatu jest niemal wyłącznie praca nad formą, nad kształtem, rozpoczęcie od formy, a nie od treści. Zakładam oczywiście, że aktor, skoro już nim został, jest człowiekiem wrażliwym, posiadającym wyobraźnię i wykształcenie co najmniej średnie. I w związku z tym nie trzeba mu tłumaczyć za długo, na czym polega treść tego, co robi, fabuła wydarzenia. Myślenie o formie sprawia, że otwierają się rejony nowych treści, nowej wrażliwości, spojrzenia daleko szerszego i głębszego na to, co jest zawartością, tworzywem, asocjacją. Ma się wtedy jakby wiele punktów widzenia i możliwość wypośrodkowania tego, co najważniejsze, kierowania się właściwą hierarchią.

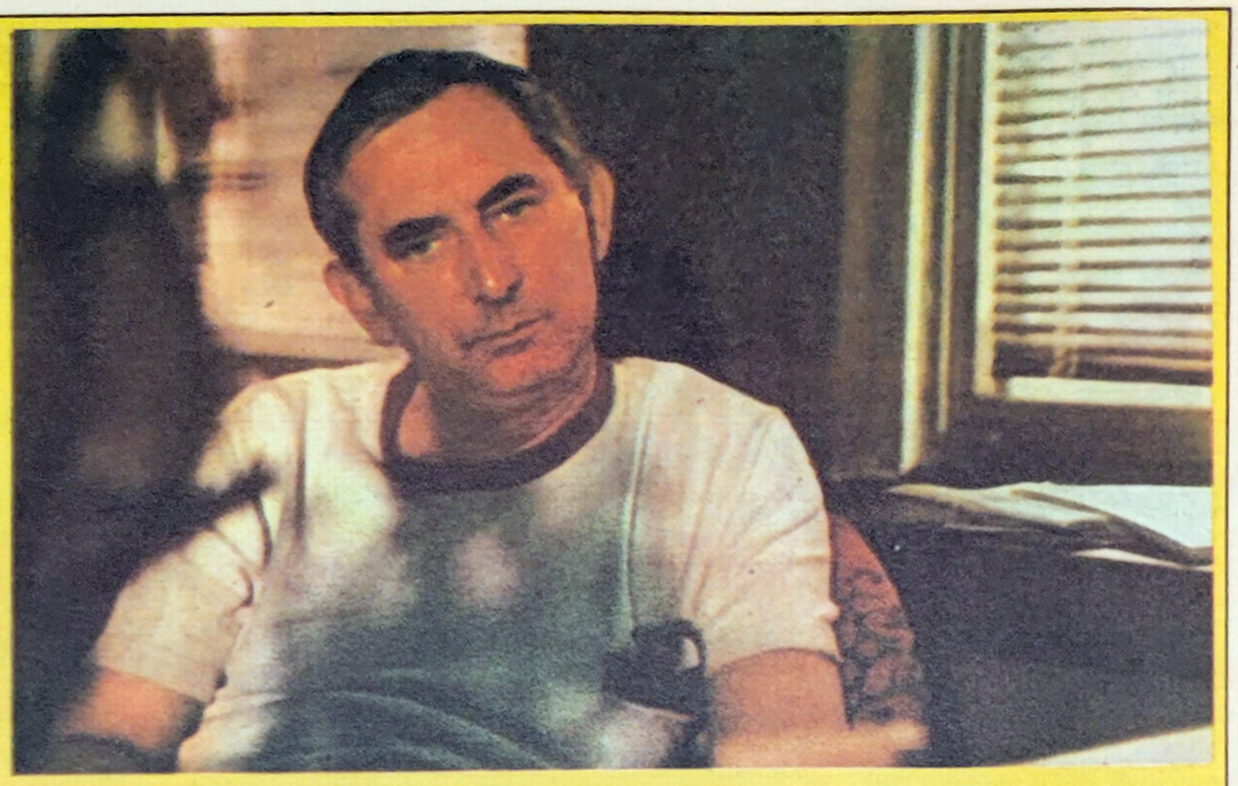

Gustaw Holoubek w filmie – „Pokój na morze" reż. Janusza Zaorskiego

– W jednym z wywiadów powiedział Pan, że na początku przystosowywał siebie do postaci, a potem zaczął upodabniać je do siebie. Nie kryje Pan na scenie swojej osobowości...

– Dojrzewanie polega na tym, iż po początkowych wzlotach duszy, tego, co nazywamy nastrojem, emocją, „wypruwaniem serca i jelit" przed publicznością, powoli ustępuje na rzecz rozumnego spojrzenia na rzeczywistość sceniczną, na funkcję teatru. Nabiera się dystansu do własnego „geniuszu", własnego zadufania. Rezygnuje się z własnego egoizmu, egocentryzmu, własnego przeżywania, niezależnie od widza. Zaczyna się bardziej myśleć o innych, niż o sobie. Chodzi o to, aby dawać, a nie brać.

– Jest Pan dyrektorem Teatru Dramatycznego w Warszawie i jednocześnie jego aktorem. Zawsze to niezręczna rola przy obsadzaniu ról.

– Spotykam się z opiniami innych, że za mało gram. Nie staram się epatować swym aktorstwem teatru, którego jestem dyrektorem. Jako aktor sam odczuwam pewien niedosyt w tym zakresie i przekornie buntuję się przeciw dyrektorowi. Być może, że powinienem się sobą-aktorem bardziej zająć.

Najbliższe role?

– Gram Krasińskiego w „Nocy Listopadowej" Wyspiańskiego w reżyserii Macieja Prusa. A potem – zobaczymy.

Rozmawiała: BARBARA HENKEL (Interpress)
Fot. **archiwum**

DOM MODY świata młodych

Mademoiselle Monsieur

Mademoiselle – to po francusku „panna", „panienka", monsieur – „pan". Tłumaczenie więc tytułu dzisiejszego odcinka: Panna Pan, ale ja wcale nie dla fantazji użyłam słów francuskich – w końcu przecież wiadomo, że Paryż to stolica mody...

Taka Panna Pan czy, jak kto woli – Mademoiselle Monsieur, to jedna z propozycji zbliżającego się (niestety – bardzo szybkimi krokami) sezonu jesiennego. Innymi słowy mówiąc – chodzi o styl ubierania się, przypominający męskie ciuchy. Podstawowym składnikiem tego stylu jest żakiecik o fasonie zbliżonym do męskiej marynarki. Może on być uszyty z materiału bardziej... dziewczęcego np. z aksamitu (przebój wcale nie tylko jesienny!), ale znacznie bardziej stylowo jest, jeśli oprócz kroju weźmie z męskiej marynarki i gatunek materiału. Coś takiego – w gatunku materiału, jego wzorze i kolorycie – z czego się szyje męskie garnitury. Jak któraś z Was ma wątpliwości, co to ma być, niech poprosi tatę, żeby w sklepie wskazał palcem, z czego by chciał sobie garnitur uszyć – to będzie właśnie to.

Drugi element, to krawat. Najzwyczajniejszy w świecie męski krawat, który można nosić na dwa sposoby (obydwa mieszczące się jednakowo dobrze w stylu): zawiązany pod samą szyją, tak jak je noszą starsi panowie, albo – zawiązany luźniej nieco, trochę... niechlujnie jakby. Krawaty nosi się oczywiście przede wszystkim do bluzek koszulowych z kołnierzykiem (tak jak i panowie je noszą), ale jak dziewczyna ma trochę fantazji, może go sobie zawiązać (na sposób drugi) np. na sweterku lub na golfie nawet.

Do innych elementów (rzadziej spotykanych, ale również stylowych) należą: kamizelki z materiałów garniturowych, uszyte tak jak kamizelki do męskich garniturów, męskie czapki z daszkiem, męskie skórzane teczki, męskie parasole. To ostatnie polecam jako rzecz superpraktyczną – męski parasol jest większy, a więc skuteczniej osłania od jesiennego deszczu!

Jak kto chce, może te wszystkie elementy zastosować równocześnie, ale równie dobrze jest (i znacznie praktyczniej, bo kogo stać na sprawienie sobie naraz wszystkiego) używać po jednej z wymienionych rzeczy do całości, która w sumie ma raczej dziewczęcy charakter. Np. tak, jak to widać na zdjęciach.

RIUSZKA

WARCABY

TURNIEJ WARCABOWY O PUCHAR „ŚWIATA MŁODYCH" I GŁÓWNEJ KWATERY ZHP

Prowadzi Romuald Frey

Rozwiązanie zadań

Zadanie 23. 1. 28–23! 18:40 2. 45:21 16:38 3. 41:49

Zadanie 24. 1. 22–17! 16:38 2. 17:30 25:43 3. 45–40 35:44, 4. 50:48 38–42 5. 48–37

Zadanie 25. 1. 40–34! 30:39 2. 48–43! 39:48 49:44! 48:22 4. 35–30! 24:35 5. 44–40 35:44 6. 50:31:28:19:8:17:28 18:22 7. 28:17 z wygraną.

Zadanie 26. 1. 48–42! 37:48 2. 39–33! 48:30 3. 40–34! 30:43:27:18:29 4. 33:11.

Zadanie 27. 1. 43–38! 33:42 2. 49–44! 40:49, 3. 21–16 49:21! 4. 16:7 2:11 5. 41–37! 42:31 6. 36:7.

Zadanie 28. 1. 47–42!! 38:47 2. 31–27!! 47:24:35:44:22:31. 3. 36:20 z wygraną.

Zadanie 29. 1. 42–38! 36:47 2. 37:32!! 47:22 3. 50–44!! 27:40 4. 45:12 17:8 5. 26:28 8–13 6. 28–23 13–19 7. 23:14.

Zadanie 30. 1. 47–41! 36:47 2. 24–20!! 47:49 3. 20:16 49:21, 4. 16:27 17–22 5. 27:18.

Zadanie 31. 1. 49–44! 40:49 2. 39–34! 49:23 3. 29:20 15:24 4. 34–29! 24:33, 5. 42–37 31:42 6. 47:29 19–23 7. 29:18.

Zadanie 32. 32–27!! 21:43 35–30!! 23:32 3. 30–24 19:30, 4. 34:25 43:34 5. 25–20!! 15:24 6. 42–38 32:43 7. 48:17 16–21 8. 17:26 6–11 9. 26–21 11–16 10. 21–17 16–21 11. 17:26.

UCIEC JAK NAJDALEJ?

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

Kupił bilet i wsiadł do pierwszego lepszego autobusu. Pojechał w przeciwnym kierunku. I wtedy chciał wrócić, chciał się wycofać. Przypomniał sobie słowa matki: „... tak się cieszę, że jedziesz do Rabki, wrócisz zdrowy..." Ale jak miał wrócić, przecież na jeziorze odbywają się regaty, a jego tam nie ma. Musi pojechać nad jezioro!

Pociąg do Katowic odjeżdża o 21. Jeszcze pozostały dwie godziny. Późnym wieczorem Jarek zapukał do drzwi swojego domu. Na jego widok nikt nie zrobił wielkich oczu, nikt się nie zdziwił. Telegram doszedł wcześniej. Czekali już na niego. Mama z opuchniętymi oczami i ojciec wściekły. Nie takiego powitania oczekiwał Jarek. Ale najgorsze przyszło godzinę później.

– Jutro rano wracasz do Rabki – zakomunikował ojciec.

– Pojechać to ja mogę, tylko nie wiem po co – tłumaczył Jarek. – Tam i tak mnie już nie przyjmą.

Poczekalnia ośrodka. Matka i syn ukradkiem spoglądają na zegarek. Denerwują się. Z gabinetu wychodzi lekarz. Patrzy surowo, marszczy brwi potem uśmiecha się i wyciąga do Jarka rękę. Mocny uścisk dłoni i... Jarek też się uśmiecha. Lekarz kładzie rękę na ramieniu chłopca i prowadzi go do gabinetu jakby nigdy nic się nie stało...

DANUTA ZIELIŃSKA

P.S. Przed tygodniem Jarek opuścił sanatorium. Przed wyjazdem zaniósł lekarzowi wyrzeźbioną przez siebie figurkę uciekającego chłopca...

WOŁGA MA 20 MILIONÓW LAT

MOSKWA (PAP). Wołga liczy około 20 milionów lat. Jak wykazały badania, koryto rzeki w ciągu tego okresu przesunęło się o kilkadziesiąt kilometrów na zachód. Zmieniła się również długość rzeki. Od 10 mln lat Wołga wpada do Morza Kaspijskiego, które niegdyś sięgało znacznie dalej na północ niż obecnie. Pierwotna delta tej rzeki znajdowała się w rejonie dzisiejszego Wołgogradu. **(kż)**

Tomasz Chyb z Kielc pisze w swym liście: „Razem z bratem i kolegą obserwowaliśmy za pomocą lunety powiększającej 20x nocne niebo w dniu 27 lipca. O godzinie 21[m] zauważyliśmy sunącą po niebie „gwiazdę". Nie mógł to być meteor gdyż obiekt ten poruszał się ze znacznie mniejszą prędkością. Światło przesuwało się po linii prostej ze wschodu na zachód i zniknęło w okolicach Gwiazdy Polarnej. Co to mogło być?"

Przytoczyłem ten list nie ze względu na zawartą w nim rewelację (wprost przeciwnie), a dlatego, że podobnymi doniesieniami jestem wprost zasypywany. Otóż obiekt, który obserwował Tomek, nie miał nic wspólnego z UFO, było to niewątpliwie światło pozycyjne samolotu lub jakiegoś innego ziemskiego „pojazdu". To wszystko, żadnych tajemnic. Przy okazji proszę Was o więcej spostrzegawczości i... krytycyzmu. A swoją drogą, to zbyt mało otrzymuję interesujących opisów prowadzonych przez Was obserwacji.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

NOWE PIERŚCIENIE SATURNA?

Saturn uważany jest od dawna za jedną z najdziwniejszych planet naszego układu słonecznego. Tę opinię zawdzięcza istnieniu pierścieni. Pierścienie Saturna zauważył w 1610 r. Galileusz, a przez następne pół wieku dość dokładnie rozpoznano ich strukturę.

Obecnie astronomowie dokonali bardziej szczegółowych obserwacji i pomiarów pierścieni. Średnica ich wynosi 278 tys. km. Wyróżniono trzy pierścienie. Pierwszy z nich, matowobiały pierścień A, o szerokości 19.818 km znajduje się na zewnątrz. W środku jest błyszczący pierścień B o szerokości 27.966 km i najbliżej planety, przezroczysty pierścień C, o szerokości 18,216 km. Grubość pierścieni waha się od 150 do 3200 km. Prawdopodobnie pierścienie składają się z niewielkich odłamków skalnych i pyłów kosmicznych.

Już od początku stulecia wysuwano hipotezę, że pierścieni może być więcej. W latach 1967–1976 kilku badaczy, niezależnie od siebie, odkryło istnienie pierścienia D, znajdującego się najdalej od planety. Przypuszcza się, że sonda „Pionier 11", lecąca ku granicom naszego układu słonecznego, we wrześniu 1979 r. zbliży się do Saturna. Prawdopodobnie dokonana zostanie niewielka korekta jej lotu, aby mogła przejść pomiędzy dwoma zewnętrznymi pierścieniami Saturna. „Pionier" powinien dostarczyć wielu cennych informacji o ich strukturze i budowie.

Obraz Saturna widoczny w teleskopie oraz prawdopodobny wygląd pierścieni oglądany z bliska (rysunek)

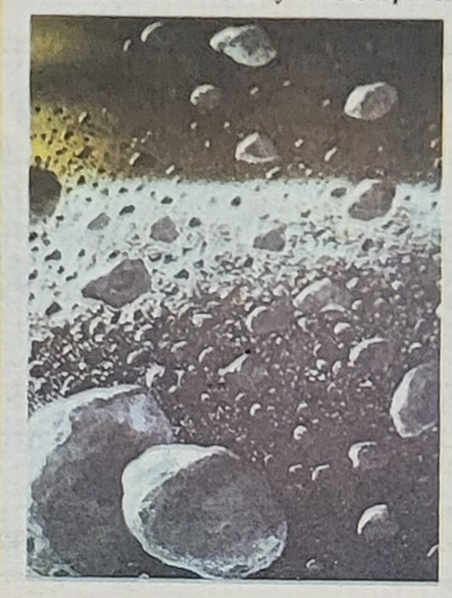

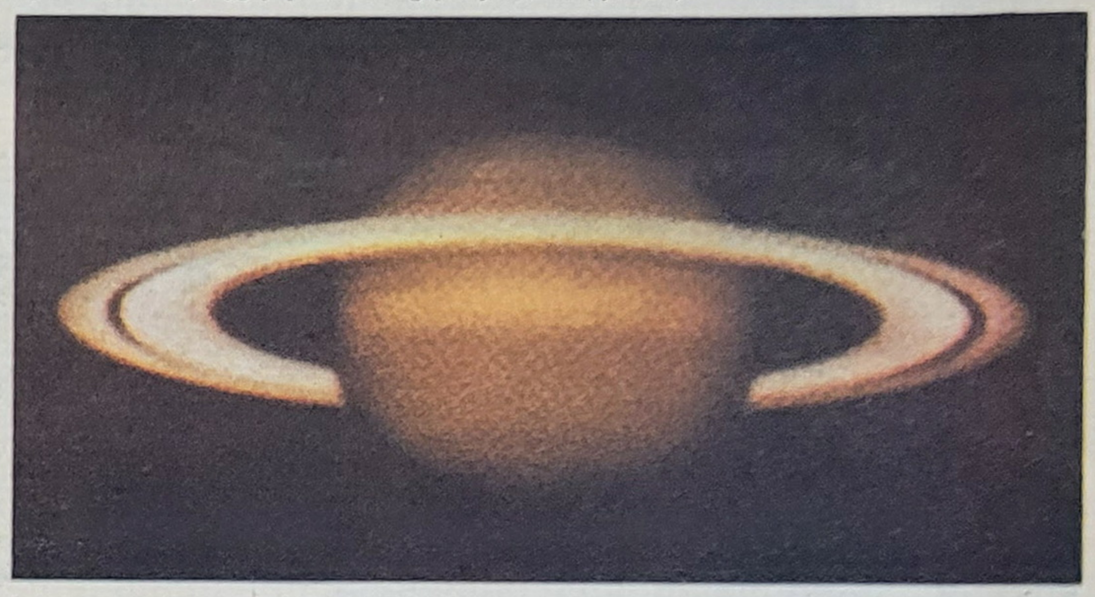

Czy samotni w kosmosie?

Ostatnimi czasy modne stało się poszukiwanie obcych cywilizacji, wyszukiwanie obiektów będących rzekomymi śladami pobytu kosmitów na Ziemi. Mnożą się także przykłady bezpośrednich kontaktów ludzi z „przybyszami" z kosmosu. Choćby słynne podróże na Wenus jakich podobno dokonał pan G. Adamski na „zaproszenie" Wenusjan (do tego na wenusjańskich latających talerzach"!). Znacznie większy rozgłos (i nie mniejszą fortunę) zdobył sobie tropiciel śladów pozostawianych przez obcych na naszej planecie – Erich von Däniken.

Znakomita większość doniesień o „latających talerzach" czy spotkaniach ludzi z obywatelami kosmosu została wyjaśniona zjawiskami naturalnymi, czy była po prostu zwykłą mistyfikacją. Do rzetelnych badań naukowych nadaje się tylko stosunkowo niewielki procent tych doniesień i to na ogół słabo udokumentowanych. Oczywiście wszelkie rozważania na temat wizyt jakie kosmici ewentualnie składali na Ziemi, czy też spekulacje odnośnie życia we wszechświecie istot rozumnych opierają się na założeniu, iż prócz naszej cywilizacji naukowo-technicznej są jeszcze inne. Gdy zrezygnujemy z tego założenia okaże się, iż jesteśmy sami w kosmosie. Czy rzeczywiście? Oczywiście nie można przedstawić przesądzającego dowodu, bo takiego po prostu nie ma.

Na ostatnim, XXVIII Kongresie Astronautycznym – Praga 1977 („Urania" 1978, nr 6) dużym zaskoczeniem była wypowiedź delegata ZSRR J.S. Szkłowskiego, który w dniu 27 czerwca 1977 roku stwierdził: **„W naszej Galaktyce istnieje z całą pewnością tylko jedna cywilizacja naukowo-techniczna – to jest nasza".** Stwierdził, też, że **„Związek Radziecki nie będzie dalej łożył środków na badania w zakresie CETI, gdyż z góry już wiadomo, że nie przyniosą one rezultatu."** Wystąpieniem tym popsuł humory CETI-ologom jak i z pewnością przynajmniej niektórym czytelnikom „Tomika". Koncepcja, iż jesteśmy tworem niezwykłym i jedynym w kosmosie dla tak towarzyskiej istoty jaką jest człowiek jest trochę szokująca. Trzeba jednak przyznać, że rzeczywiście na powstanie życia na Ziemi musiało złożyć się bardzo wiele naprawdę skomplikowanych czynników w czasie wczesnych etapów ewolucji naszej planety. Choćby woda, środowisko życia. Aby się ono rozwijało musiało być wody dostatecznie dużo lecz nie zanadto by lądy nie były zalane. Duża powierzchnia wód spełnia także funkcję termostatu cieplnego. Należy zauważyć, iż Ziemia powinna obfitować w pierwiastki ważne dla życia itd. itd.

Ilustracją omawianego tematu może być odczyt jaki kilka lat temu wygłosił w Warszawie laureat Nagrody Nobla, fizyk Georges Townes. Otóż pan Townes zakładał – w oparciu o najświeższe wyniki badań najrozmaitszych dyscyplin naukowych – iż życie na Ziemi jest czymś arcywyjątkowym. Przytoczę tylko jeden z ważniejszych, a zarazem ciekawszych argumentów tej teorii. Od z górą dziesiątka lat temu wiemy, że skorupa ziemska nie jest całkowicie sztywna, lecz podlega ruchom. Dzięki tym powolnym ruchom dno oceaniczne stale się odnawia w strefie środoceanicznych grzbietów, by zagłębić się z powrotem w rowach oceanicznych. Wielkie sztywne płyty litosfery przesuwając się powodują powstawanie łańcuchów górskich, dolin itd. Co to ma wspólnego z życiem? Otóż bardzo wiele. Po prostu, gdyby nie ruch wielkich płyt po stu czy więcej milionach lat wszystkie fragmenty skorupy ziemskiej wystające ponad powierzchnię wody uległyby „rozmyciu", erozji i zniknęłyby w falach oceanu. Życie oczywiście nadal rozwijałoby się tyle że w wodzie lecz niestety przez bardzo krótki okres czasu. W tych strefach oceanu gdzie dochodziłyby promienie słoneczne i tlen zabrakłoby z czasem soli mineralnych niezbędnych dla rozwoju żywych organizmów. Zostałyby „zjedzone". Tak jak rola, by dać plon, musi być orana, skorupa Ziemi – aby mogło na niej istnieć życie – musi być „orana" przez potężne ruchy płyt litosfery.

I tu pojawia się pytanie – czy taka ruchliwość skorupy ma miejsce na innych planetach? Na tych planetach, które znamy (Układ Słoneczny) takich zjawisk, poza Ziemią nie zaobserwowano. Więc może jednak jesteśmy samotni w kosmosie?

Waldemar Parniewicz
ul. Rataja 3/25
10-201 Olsztyn

OBÓZ Z KOSMITĄ

Szanowny Panie Redaktorze! Wracam właśnie z pierwszego ogólnopolskiego obozu sympatyków fantastyki naukowej i science-fiction, który zakończył się w Soczewce (woj. płockie). Jestem oczarowana młodymi ludźmi, którzy tym się zajmują i cały wolny czas poświęcają społecznej klubowej działalności. Miłośnikom fantastyki z całego kraju przyszli z pomocą łódzcy harcerze i studenci z Jolą Kaczan i Markiem Kubalą na czele, którzy pomogli w jego zorganizowaniu i udostępnieniu studenckiego ośrodka we wspomnianej Soczewce.

Uczestnicy obozu brali udział w wieczorze z „kosmitą", przeżyli „kosmiczne" porwanie, a na zakończenie tygodniowego pobytu bawili się na balu maskowym. Obowiązywał na nim oczywiście „kosmiczny" strój.

Dużym powodzeniem wśród obozowiczów cieszyły się też dyskusje dotyczące literatury fantastycznej, projekcje filmów o tej problematyce i wystawa grafiki w stylu science-fiction. Obóz odwiedzili polscy pisarze parający się fantastyką: Andrzej Sneerg Wiśniewski, Andrzej Krzepkowski i J.A. Zajdel. Przy wieczornych ogniskach rej wodzili członkowie łódzkiej grupy „Zezowaty piskorz".

Warto przypomnieć, że w naszym kraju działają 24 oddziały Ogólnopolskiego Klubu Fantastyki Naukowej i Science-fiction, a Zarząd Główny klubu mieści się w Warszawie przy ul. Kickiego 12.

Roman Kuffel
ul. Słodowa 2/63
09-400 Płock

włamania do krypty podziemnej. Ale nie będę z tego robił żadnej sprawy. Nie chcę, aby pracę ekip filmowych otaczało podejrzenie, że działają wśród nich złodzieje i włamywacze. Dlatego tym razem ci się upiekło, Waldek.

To mówiąc dałem znak Bajeczce i Templerowi, że opuszczamy podziemie. Batura i jego pomocnicy mieli prawo pozostać, ponieważ znajdował się tutaj jeszcze sprzęt filmowy, kable i reflektory.

Gdy znaleźliśmy się na Rynku Starego Miasta, już zaczynało świtać, świeże powietrze otumaniło Bajeczkę i zaczęła głośno ziewać.

– Pozwólcie, że was pożegnam – powiedziała. – Jestem okropnie śpiąca i pójdę się położyć w hotelu. Do zobaczenia panie Tomaszu – kiwnęła mi ręką. – Do zobaczenia, panie Moor – uśmiechnęła się do Templera.

Odeszła w stronę hotelu, a my ruszyliśmy nad brzeg jeziora, gdzie biegła uliczka prowadząca do ośrodka kempingowego.

Koło przystani Templer i ja uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Powiedz Dianie – rzekłem mu przy rozstaniu – iż bardzo żałuję, że nie udał się nam wspólny wyjazd. Niestety, to nie była moja wina.

– Myślę, że ona będzie spała aż do południa – roześmiał się Templer. – Zaniepokojony pan Domini wpadnie do jej pokoju, odczyta list, który pozostawiła na stole i oczywiście nigdzie jej nie puści. Bo mamy już zamówione miejsca w samolocie. W południe odjeżdżamy samochodem do Warszawy, a potem samolotem do Londynu. Cieszę się, że cię poznałem, Tomaszu. Dzięki tobie przeżyłem nareszcie prawdziwą przygodę.

To mówiąc uścisnął mnie mocno i odszedł – szczupły, wysportowany, szatyn z radosnym uśmiechem na twarzy. Taki sam, jakiego tylekroć widziałem na filmie i myślę, że jeszcze nieraz zobaczę, przeżywającego dramatyczne wydarzenia.

Wyznaję, że lubię oglądać takie filmy nawet, jeśli nie opowiadają prawdziwych historii.

*** * ***

Otawrcie trzech cynowych sarkofagów książąt pomorskich, które znajdowały się w kościele w Słupsku wzbudziło w Polsce ogromną sensację. Cała niemal prasa donosiła szczegółowo o tym, jak wyglądały szczątki zwłok, ubranie, a nawet ozdoby i klejnoty zmarłej przed trzystu laty księżnej Anny Gryfitki de Groy, jej syna Ernesta oraz księżniczki Katarzyny Urszuli. W publikacjach prasowych ukazano ważące po 500 kilogramów, przepięknie przyozdobione sarkofagi, które poddano renowacji w warszawskiej pracowni Przedsiębiorstwa Konserwacji Zabytków. Biżuteria, znaleziona w trumnach, jak również zachowana odzież, znalazła się w słupskim muzeum. Można tam zobaczyć przepiękny, duży, złoty pierścień z brylantem i mniejszy pierścionek z 15 brylancikami, opaskę skórzaną łączoną ze złotem, dwie złote bransolety kunsztownej roboty, przedmioty o dużej wartości materialnej i zabytkowej.

O otwarciu starej trumny w kościele w Iławie – nie napisano w prasie ani słowa. Nie przyjechali ani dziennikarze, ani fotoreporterzy. Bo też nie był to żaden cudownie zdobiony sarkofag, a zwykła blaszana trumna. Przy ich otwarciu, oprócz konserwatora wojewódzkiego i mnie, asystowali czterej specjaliści sprowadzeni z Warszawy oraz... Waldemar Batura.

Zanim duży Robur z napisem Przedsiębiorstwa Konserwacji Zabytków zajechał w południe przed kościół iławski, dość długo czekałem na niego, spacerując po kościelnym wzgórzu. I wtedy to podszedł do mnie Waldemar Batura.

– Nie odjeżdżasz wraz z ekipą filmową? – zdziwiłem się.

– Owszem, ale dopiero wieczorem. Muszę dopilnować, aby dokładnie zebrano cały sprzęt – wyjaśnił. – I korzystając z okazji, że tu jeszcze pozostanę, chciałbym cię prosić, abym mógł wziąć udział w otwarciu starej trumny. Podobnie jak i ty, usiłowałem rozgryźć treść wiersza anonimowego poety, w tydzień po tobie, odnalazłem jego dom. Z początku myślałem, że ustalając nazwisko poety trafię na ślad nie odkrytego dotąd artysty i zarobię na ludowej twórczości, która jest teraz modna. Ale potem, jak wiesz, dostałem pracę w filmie zagranicznym, gdzie zarobiłem sporo grosza, a także korzystając z okazji skupiłem po wsiach trochę starych mebli. Po odświeżeniu odprzedam je z dużym zyskiem. W sprawie złotej rękawicy pociągała mnie rywalizacja z tobą, chęć przekonania i siebie, i ciebie, że jestem lepszy, zdolniejszy, mam większy talent detektywistyczny. No cóż, nie udało mi się, choć byłem o krok od celu.

Cdn.

A'TOMEK

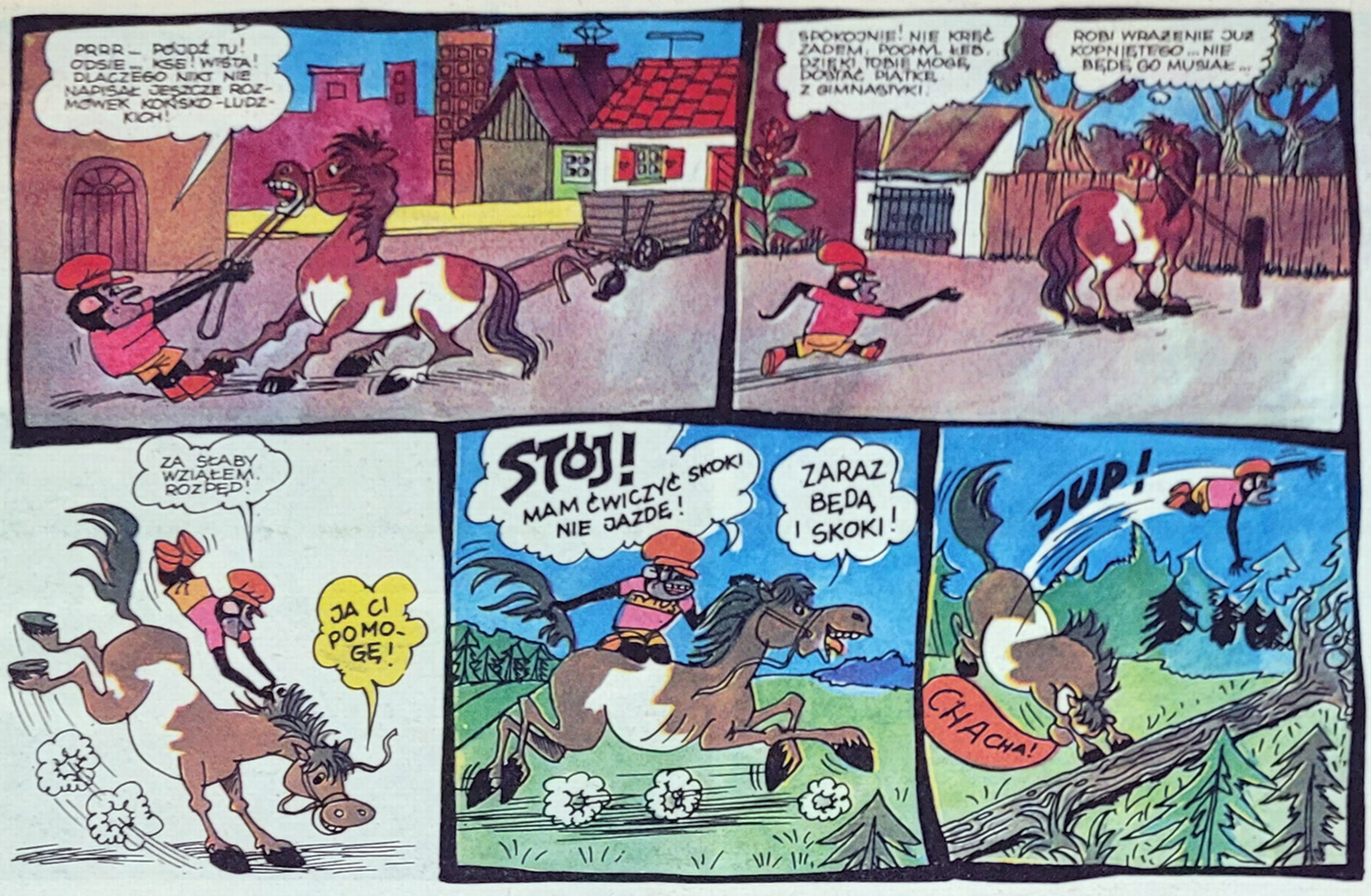

TEKST I RYSUNKI PAPCIO CHMIEL

TYTUS, Romek i A'Tomek

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: ul. 3 Maja 7, 400-096 Katowice (tel. 599-230, telex 0315327).
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)
TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.
Opracowanie graficzne
Tadeusz Baranowski
Redakcja techniczna
Anna Dąbrowska
DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Zam. 5653/G S-30

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY
00-561

W NASTĘPNYM NUMERZE ZNAJDZIECIE:

- *Reportaż o wielkiej wodzie pod Włocławkiem*
- *Wspomnienia druha harcmistrza pt. „Maciuś ze starego albumu"*
- *Korespondencję z Bułgarii*
- *Wiele innych ciekawych tekstów, a także Rzepa i kolejny odcinek Tytusa Romka i A'Tomka, którzy mają coraz więcej przygód. Zapraszamy!*

Do naszych uszu doszedł gniewny głos Waldemara Batury:

– Chwaliliście się, że macie nie tylko silne mięśnie, ale potraficie otworzyć każdy zamek. A tymczasem nie możecie sobie poradzić ze zwykłą kłódką.

– Najlepiej ją przepiłować – doradzał jeden z goryli.

– O tak. I Samochodzik oskarży nas o włamanie – rozsierdził się Batura. – Tłumaczyłem wam, że nie wolno nam pozostawić żadnych śladów. Blaszaną trumnę otworzymy metalową mechaniczną piłką. I potem trzeba będzie ją zalutować. Macie elektryczną lutownicę?

– Oczywiście, mistrzu – stwierdził drugi z goryli. – Myśli pan, że w tej trumnie jest złota rękawica.

– Tak przypuszczam – stwierdził Batura. – O ile wiem, w krypcie znajdują się dwie blaszane trumny. Jeśli dopisze wam szczęście, być może od razu w pierwszej znajdziemy złotą rękawicę. Inaczej trzeba będzie dobrać się i do drugiej trumny. No i co z tą kłódką?

Nastała chwila ciszy, ktoś głośno sapnął, coś zgrzytnęło.

– Nareszcie mistrzu – oświadczył radośnie pierwszy z goryli. – Otworzyła się.

Wysunęliśmy nieco głowy zza muru i zobaczyliśmy, że Batura i jego pomocnicy otwierają ciężkie drzwi, zamykające boczną kryptę. Potem Batura wziął do ręki latarnię elektryczną i razem z gorylami zniknął nam z oczu.

– Do stu tysięcy czarnych – wrzasnął Batura. – W krypcie jest tylko jedna trumna, a powinny być dwie. Na ziemi jest jeszcze ślad po drugiej trumnie.

– A tę, co tu jest, ktoś niedawno otwierał. Świeża cyna. Można powiedzieć, że wczoraj ktoś zacynował wieko – stwierdził drugi z goryli.

Pierwszy z goryli zawołał:

– A tu, panie Batura, złota rękawica. Na ziemi leży.

– Gdzie? Co? Jaka rękawica? – gorączkowo pytał Batura.

Któryś z goryli zapewne podniósł z ziemi rękawicę i podał ją Baturze. Tamten z wściekłością rzucił ją na ziemię.

– Do diabła! To nie jest złota rękawica, ale zwykła, skórzana rękawiczka, którą własnoręcznie pomalowałem na złoty kolor i kazałem podrzucić Samochodzikowi do jego jachtu. On był tu przed nami i sprzątnął nam sprzed nosa złotą rękawicę...

Długo czekałem na tę chwilę. Nawet w najśmielszych marzeniach nie przewidywałem, że będzie ona wypełniona tak zabawną treścią. Głośno parsknąłem śmiechem. Wziąłem pod rękę Bajeczkę i Templera i weszliśmy razem do krypty. Dwaj goryle aż oczy wytrzeszczyli ze zdumienia, bo przed godziną własnoręcznie załadowali mnie na „Lord Jima".

– Mylisz się – powiedziałem do Batury – jeszcze nie znalazłem złotej rękawicy.

– Nie było jej w drugiej trumnie? – zapytał ze szczerą ciekawością, jak gdyby nic się nie stało: nie otworzył kłódki do zamkniętej krypty, nie usiłował mnie uwięzić...

– Sprawa dziś się wyjaśni – odrzekłem. – Wczoraj wynieśliśmy trumnę z krypty i pozostawiliśmy ją w bocznym pomieszczeniu obok zakrystii. Konserwator wojewódzki nie chciał otwierać trumny bez pomocy fachowców z PKZ-u. Przyjadą dopiero dzisiaj i otworzymy trumnę.

– Tam musi być złota rękawica – stwierdził Batura. – Gustaw Kodrąb nie kłamał.

– Ja też tak sądzę – kiwnąłem głową. – A teraz wynoście się z krypty i pozwólcie, że znowu ją zamknę.

Z opuszczonymi głowami opuścili kryptę. Zatrzaskując na drzwiach zamek kłódki dorzuciłem:

– Mam świadków – wskazałem Templera i Bajeczkę – że dokonaliście

Dokończenie na str. 7